ODGŁOSY

ROK XIX NR 28 (970) 8 LIPCA 1976 R. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

TRZECI WIEK

WALDEMAR MAREK WIŚNIEWSKI

STARUSZKA Z TOPORKIEM

1.

Dom jest duży, ładny — ładniejszy od tych wszystkich bloków, które stoją dookoła. Tylko szkoda, że nie postawili go gdzieś na jakimś ustroniu, żeby było dużo zieleni. Mieszkańców do niego, wybierali ci ze spółdzielni. Wybrali samych samotnych albo starsze małżeństwa co dzieci już w świat wypuściły.

W samym domu też ładnie. Wszystko jest — dywany na korytarzach, palmy, portiernia i lekarz też jest, a na górze świetlica z kolorową telewizją i fotelami. A mówili ci ze spółdzielni, że jest to jakiś eksperyment.

Sama nie miałaby na wkład do spółdzielni, ale jak syn z Francji przyjechał, to powiedział, że dosyć się namęczyła i czas żeby po ludzku wypoczęła. Później jak odjechał, to przysłał pieniądze na ten wkład do spółdzielni. Życia to jej już dużo nie zostało bo 85 rok minie w maju jak się urodziła, ale jak tamtego roku urodziny były, to 12 osób gościła — dzieci, wnuki, a i sobie za kołnierz nie wylewała.

Ładnie tu jest, spokojnie, dzieci nie ma. Ludzie też porządni — nie piją, nie awanturują się. Wszystko prawie jak w sanatorium, ale z niektórymi to trzeba uważać.

Wiedzą, że na przykład rodzinę ma we Francji i o dolarach też wiedzą, że ma i wydrzeć by chcieli. Bo ludzie teraz na pieniądze takie pazerne, że aż strach.

Od niedobrych ludzi, to się trzeba oganiać jak od psów. Bo na przykład ten taki przystojny pan, co nad nią mieszka, to przez sąsiada choruje. Tamten ną niego przez ścianę atomy wysyła, czy coś takiego, że nie tylko na zdrowiu podupadł, ale od tego bombardowania, to i tynk z sufitu odpada i kran się w łazience popsuł.

Ją też w nocy chcieli napaść. To było wieczorem. Długa historia, ale ona

Dalszy ciąg na str. 5

BOHDAN FELT

„NESSIE" W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

Stało się już niemal tradycją, że w okresie letnich miesięcy, kiedy w całej prasie panuje tzw. „sezon ogórkowy", na szpaltach licznych gazet i magazynów pojawiają się informacje o „potworze z Loch Ness". Dzieje się tak prawie rokrocznie i to od wielu lat wskutek czego historia tajemniczego „Nessie", żyjącego rzekomo w głębinach jeziora, jest dziś traktowana przez wszystkich jedynie z przymrużeniem oka. Podobnie zresztą jak i „autentyczne" zdjęcia potwora wykonane przez niestrudzonych w swych poszukiwaniach badaczy zagadki jeziora.

A więc wytwór czystej fantazji? Jednakże, jak wytłumaczyć fakt, iż tylu ludzi, a wśród nich wielu poważnych naukowców uparcie twierdzi, że widziało na powierzchni jeziora jakiś dziwny obiekt, kształtem przypominający prehistoryczne zwierzę? Przywidzenie? A przecież pierwsza wzmianka o tajemniczym potworze pojawiła się już w roku 565, w zapiskach św. Kolumbana. Później słyszeliśmy o nim częściej, bądź rzadziej, ale szczególnie dużo w okresie ostatnich dwudziestu kilku lat. Całkiem niedawno, bo w styczniu bieżącego roku, sprawa „Nessie" stała się tematem debaty brytyjskiej Izby Gmin, powodem zaś były intrygujące zdjęcia podwodne i wskazania sonarów, wykonane w głębinach owego szkockiego jeziora. W efekcie stało się to kolejnym bodźcem dla zwolenników istnienia „Nessie" do wzmożenia poszukiwań, zmierzających do wyjaśnienia zagadki.

Wśród licznych ekip badawczych nad Loch Ness, wybrała się również pewna ekspedycja z USA, która postanowiła ostatecznie wyjaśnić tajemnicę górskiego jeziora. Od lat bowiem tajemniczy fenomen przyciąga nad to głębokie i zamulone jezioro liczne rzesze ciekawskich i żądnych przygody, poszukiwaczy, którzy cierpliwie stoją nad jego brzegami z kamerami, lornetkami, krążą nad powierzchnią wody w helikopterach i oczekują chwili wynurzenia się „Nessie". Najczęściej daremnie.

Ale oto zabłysło światełko nadziei. Po wielu latach bezowocnych prób wyjaśnienia zagadki Loch Ness wspomniana wyprawa amerykańska zdecydowała się tego dokonać. Organizatorem ekspedycji jest dr Robert H. Rines, bostoński

Dalszy ciąg na str. 10

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

ANDRZEJ MAKOWIECKI

MILIONERZY

(Korespondencja z Londynu — część druga)

Nie odwracałem się. Siedziałem nieruchomo jak mumia, udając że nic nie rozumiem, kiedy dziewczyna zaczęła z tym starym po polsku. W autobusie było dużo Hindusów i Chińczyków, była również taka sama tablica jak na dworcach i w metrze, a on pytał:

— Co słychać?
— Nic szczególnego.
— Pracuje pani?
— Pracuję.
— Wciąż u Persa?
— Tak.
— To ważne. Trzeba przecież coś robić.
— Aha.
— Trzeba mieć jakieś zajęcie. Zgadza się pani?
— No, pewnie...

Odpowiadała sennym, bezbarwnym cichym głosem i później, kiedy wysiadając zobaczyłem jej twarz, zdziwiłem się, że jest taka młoda. Tymczasem jednak nie widziałem jeszcze tej twarzy ani twarzy starego człowieka siedzącego za mną w autobusie linii 26, która prowadzi przez Finchley Road, omija Regents Park i wpada w Baker Street. Nie chciałem się zdradzić i, tkwiąc nieruchomo jak mumia, podsłuchiwałem ze wzrokiem utkwionym w tablicy, na której, tak samo jak na dworcach i w metrze, ostrzegano przed porzuconymi walizkami i torbami.

— Gdzie pani mieszka?
— W Childs Hill.
— U Kozłowskiego?
— Nie. U jednego Anglika.
— Ile bierze?
— Dziesięć.
— Nawet niedrogo.
— Ale wie pan, Lidka się wyprowadziła, jestem teraz sama...
— Smutno?
— Trochę... Tam u pana są jakieś Polki?
— Jedna.
— Przy zmywaniu?
— Sprząta.
— Pers obciął nam w tym tygodniu do piętnastu.

Dalszy ciąg na str. 7

WSPÓŁCZESNA POLITYCZNA ŚWIADOMOŚĆ

Fragment przemówienia I sekretarza KC PZPR — EDWARDA GIERKA wygłoszonego na spotkaniu w Katowicach.

Byłem, jestem i będę zawsze przekonany, że w naszym kraju nie osiągnie się niczego, nie rozwiąże niczego, nie zbuduje niczego bez zrozumienia, poparcia i współdziałania ogółu Polaków. To Wy, Drodzy Towarzysze i Obywatele — zebrani tutaj i Wy — słuchający mnie teraz w całej Polsce — stanowicie o sile i zwartości naszego państwa. Władza ludowa jest Waszą władzą. Dlatego stoimy twardo na gruncie demokracji socjalistycznej. Dlatego tę demokrację rozwijamy i będziemy nadal rozwijać. Dlatego zgodnie ze wskazaniami VI i VII Zjazdu — rozszerzyliśmy ją o zasadę konsultowania z narodem decyzji szczególnie ważnych dla społeczeństwa i ludzi pracy. Ta zasada — wpisana na karty Konstytucji — jest dzisiaj w Polsce obowiązującym prawem. Będziemy ją nadal pogłębiać i doskonalić — tak, aby z każdym rokiem działała ona lepiej i skuteczniej, ku większemu pożytkowi państwa, narodu i każdego Polaka.

Owocny rozwój i stosowanie zasady konsultacji wymaga jednakże powszechnej gotowości do odpowiedzialnej i poważnej dyskusji, do słuchania argumentów i racji, do rzeczowego wypowiadania swej opinii. Nie do pogodzenia z metodą konsultacji jest odmowa dyskusji i przerwanie pracy. Jest to niedopuszczalne i szkodliwe nie tylko dlatego, że uniemożliwia rzeczową wymianę poglądów, lecz również dlatego, iż wywołuje stan napięcia, w którym wypływają na powierzchnię siły i żywioły aspołeczne, których poczynania przynoszą nam wszystkim Polakom wstyd, a krajowi szkodę. Każda rzecz zniszczona lub uszkodzona powstała przecież z ciężkiego trudu ludzi pracy. Najmniejsza kropla potu polskiego robotnika jest zbyt cenna, aby ktokolwiek i kiedykolwiek śmiał ją lekceważyć i marnotrawić. Władza ludowa stoi i stać będzie zawsze na straży ładu i porządku w interesach wszystkich obywateli, w interesie ich rzeczywiście demokratycznych praw.

Naród nasz ceni socjalistyczną demokrację i chce jej rozwoju. Ale demokracji nie da się zadekretować; demokracji trzeba się rzetelnie i mądrze uczyć. Musi ona głęboko wrosnąć w życie narodu, w obyczaje i postawy społeczne, musi nierozdzielnie zespolić się z dyscypliną i poczuciem obywatelskiej odpowiedzialności. Demokracji tej, dla jej dobra i rozwoju trzeba bronić wszędzie, w każdym województwie, w każdym mieście, w każdym zakładzie i w każdej instytucji. Demokracja wymaga uczciwego przestrzegania określonych zasad postępowania, wymaga wysokiej kultury politycznej. Jestem przekonany, że stać nas na to. Liczymy przede wszystkim na polską klasę robotniczą, na jej zrozumienie interesu ogólnonarodowego, na jej zdyscyplinowanie, na jej głęboki patriotyzm.

Historia Polski posiada karty piękne i chlubne — mądrości politycznej, zdolności podejmowania dalekowzrocznych decyzji, patriotycznego zespolenia w ich urzeczywistnianiu. Były momenty, kiedy pod tym względem stanowiliśmy przykład dla Europy. Ale historia Polski posiada również karty ciemne — bezładu, samowoli, Rzeczypospolitej szlacheckiej, nierządem — rzekomo — stojącej. Jest to inny, zły nurt naszych dziejów, ten, który doprowadził do ogólnego zastoju, upadku potęgi, a wreszcie i upadku państwa. Ciemne, bezmyślne, warcholskie „nie pozwalam" wykopało ongiś grób Ojczyźnie. Polska Ludowa i jej główna opora społeczna — klasa robotnicza, lud pracujący — zerwały z tą tragiczną dla narodu tradycją. Nasze socjalistyczne państwo jest państwem rządnym, opartym na ładzie prawa, na konstytucyjnych swobodach i obowiązkach obywatela.

W ostatnich latach umocniliśmy dobre imię Polski naszą pracą, naszą zdolnością tworzenia i zgodnego współżycia. Chodzi o to, aby tego dobrego imienia nie zaciemniała żadna plama. Chodzi również o sprawy szersze. O naszą współczesną patriotyczną świadomość. O polityczną dojrzałość jako normę życia zbiorowego. O taką postawę moralną i obywatelską, która sprawi, że rozmów Polaków z Polakami o sprawach Ojczyzny nigdy i nikt już nie zakłóci. Tak odczytujemy stanowisko milionów ludzi pracy, wyrażone ich postawą i potwierdzone na licznych wiecach i zebraniach w ostatnich dniach.

GOSPODARKA

KRZYSZTOF POGORZELEC

KILKA PRAWD OCZYWISTYCH

Mógłbym zacząć od faktów, wskaźników i liczb...

Otóż — nie zrobię tego. Uważam po prostu, że nie ma potrzeby przypominać tutaj ekonomiczno-społecznych osiągnięć datujących się szczególnie od pamiętnego grudnia 1970 roku, rezultatów polityki dynamicznego rozwoju, której generalnymi wyznacznikami były i są postanowienia VI i VII Zjazdu PZPR. Są one widoczne, sprawdzalne w każdym mieście i wsi, w warunkach życia każdej polskiej rodziny, KAŻDEGO Z NAS.

Sądzę natomiast, że w świetle ostatnich wydarzeń, które skupiły uwagę całego społeczeństwa, należy i trzeba porozmawiać o kilku choćby, ale za to oczywistych prawdach, zasadach tej polityki — najbardziej owocnej w dokonania, dorobek wypracowany ledwie w ciągu pięciolecia, a tak wielki, że budzi szacunek nie tylko u naszych przyjaciół, ale nie jest — bo nie może być — kwestionowany również przez wrogów.

Realizację tej polityki nazwaliśmy **„budową drugiej Polski"**. I nie można było znaleźć celniejszego określenia dla tego co już — przecież w tak krótkim czasie — dokonano. Nigdy nie wybudowaliśmy tylu rzeczywiście nowoczesnych fabryk i kombinatów przemysłowych, tak wiele mieszkań, szpitali i szkół, obiektów które służą kulturze, oświacie i sztuce. Stało się jednak jeszcze coś innego, chyba ważniejszego, może nie tyle dla obecnego nam „dziś" ale niezmiernie istotnego dla naszego jutra, czasu pokoleń Polaków, którzy teraz wypełniają szkolne sale, aule i pracownie wyższych uczelni. Tak mówiąc, mam na myśli śmiałe przezwyciężanie coraz wyraźniej zarysowującego się w końcu lat 60-tych impasu, kiedy to nasza krajowa gospodarka wykazywała w wielu dziedzinach łatwo dostrzegalne oznaki stagnacji. W tych warunkach łatwo było o postawy nacechowane... bylejakością, filozofię życia z dnia na dzień właśnie wobec braku szerszych perspektyw życiowych dla przeciętnego Kowalskiego i jego rodziny. Nie trzeba chyba dodawać, że taki stan rzeczy dawał o sobie znać w rozmaity sposób, ale nade wszystko był naturalnym hamulcem społecznej inicjatywy, zaangażowania, osiągania coraz to lepszych efektów w dziedzinie wydajności i jakości pracy, układania osobistych planów tak, by indywidualne ambicje i dążenia były zbieżne z rozwojem całego naszego państwa i jego gospodarki.

To wszystko mamy od pięciu lat poza sobą. Strumień nowoczesności tak w sferze koncepcji, jak i materialnych środków, szeroki oddech i odwaga w podejmowaniu często bardzo trudnych społeczno-ekonomicznych decyzji, to wszystko złożyło się nie tylko na pojęcie **„polskiego przyspieszenia"**, ale i niezmiernie wysoką pozycję naszego kraju odnotowywaną w międzynarodowych zestawieniach dynamizmu gospodarczego poszczególnych państw. I jeszcze jedno: nikt nie śmie powiedzieć, że to co już osiągnęliśmy w rozbudowie potencjału gospodarczego, znaczenia Polski pośród sąsiadów i najodleglejszych państw, był to rozwój... dla rozwoju, wprawdzie bardzo ładnie prezentujący się w tabelach statystyków, ale w gruncie rzeczy wyprany z czynnika humanistycznego, osobistych losów człowieka, warunków jego życia. Nieprzypadkowo bowiem na VI Zjeździe partii, Edward Gierek przedkładając program działania w sferze społeczno-gospodarczego rozwoju stwierdził, że jest i będzie on realizowany **„z ludźmi, przez ludzi i dla ludzi"**. Ta zasada oznaczała nie tylko podporządkowanie celom społecznym wszystkich innych zamierzeń, całej strategii naszego gospodarowania. Była również wyrazem woli stałego umacniania więzi partii z narodem, a poprzez nią pogłębiania demokracji socjalistycznej, gwarantującej każdemu człowiekowi rzetelnej pracy równość praw i taką samą równość obowiązków.

Taki kapitał międzynarodowego uznania, dostatniejszych warunków egzystencji, wreszcie program pozwalający każdemu z nas planować ekonomiczną przyszłość, wypracowaliśmy i stało się to — że powtórzę — w szczególnie przyspieszonym tempie właśnie w minionym pięcioleciu.

I być może — zafascynowani, zresztą skądinąd słusznie, osiągniętymi sukcesami, rwącą rzeką przemian, niezwykle szybkim tempem dokonujących się niemal z dnia na dzień przeobrażeń, a wreszcie realnymi przecież perspektywami, odsuwaliśmy na bok oczekujące naszych rąk i umysłów, a wreszcie spokojnej gospodarskiej rozwagi problemy, których rozwiązanie znaczy nic innego jak tylko kolejny, logicznie następujący etap porządkowania struktury ekonomicznej kraju, pokonanie barier hamujących postęp na drodze do dalszego rozwoju. Pewnych implikacji ogólnego postępu społeczno-gospodarczego, część obywateli naszego kraju po prostu nie chciała jakoś przyjąć do wiadomości. Napisał w **„Polityce"** M. F. Rakowski:

„Kurs na przyspieszony rozwój Polski wymagał szerokiego wyjścia polskiej gospodarki na świat. Budowa tysięcy nowych bardzo potrzebnych fabryk, modernizacja istniejących, musiała pociągać za sobą ogromny import nowoczesnej technologii. Nie uzyskuje się jej za darmo. Trzeba było zaciągnąć kredyty, które oczywiście musimy spłacać. Jestem przekonany, że tego rodzaju polityka odpowiada większości Polaków, a na pewno klasie robotniczej i inteligencji technicznej, bowiem czyni ona pracę ludzką bardziej ciekawą i efektywniejszą. Polityka gospodarcza realizowana po roku 1970 zwielokrotniła kontakty Polaków ze światem. Nie znam nikogo, kto byłby z tego niezadowolony. Lecz istnieje także druga strona medalu, o której trzeba pamiętać, brać ją pod uwagę we wszystkich rozważaniach o naszej gospodarce narodowej, a także o własnym budżecie. Polska wiążąc się coraz silniej z gospodarką światową, co przynosi nam widoczne korzyści, musi jednocześnie być zawsze przygotowana na różnego rodzaju niespodzianki. Jeżeli np. na rynku światowym rosną ceny na surowce i maszyny, które importujemy, to jest oczywiste, że fakt ten bezpośrednio wpływa na naszą politykę gospodarczą. Tracimy także i wtedy, gdy spadają ceny na surowce, które eksportujemy. Oczywiście, że zarabiamy wtedy, gdy rosną ceny na eksportowane przez Polskę surowce. Są to sprawy znane, wręcz banalne, ale istnieją takie spotkania, rozmowy, dyskusje, z których wynosi się wrażenie, że niektórzy nasi rodacy nie zamierzają uwzględniać tych okoliczności w swoich prywatnych rozważaniach o kraju, o jego trudnościach, o swym własnym budżecie itp. Nie czynię z tego nikomu zarzutu, bowiem źródłem tych postaw jest po prostu nasza przeszłość. Byliśmy krajem zacofanym i ubogim. To nieprawda, że trzy dziesięciolecia wystarczą dla pełnego wyzwolenia się spod nacisku kryteriów i schematów, które funkcjonowały w świadomości narodowej przez setki lat. Upłynie jeszcze sporo czasu zanim w naszym myśleniu o Polsce uwzględniać będziemy twarde prawa ekonomiczne, z którymi spotykamy się na rynkach światowych".

Zresztą — nie ma tak dobrze, by wszystko to co sobie zaprogramowaliśmy przychodziło nam „jak z płatka". Nie ma i nie może być dla każdego społeczeństwa życia bez trudności, rozwiązywanie skomplikowanych problemów.

Jednym z nich, jest niewątpliwie przestarzała, wadliwa struktura cen stosowanych w naszym kraju.

Analizę stanu faktycznego przedstawił szeroko w swoim wystąpieniu sejmowym premier Piotr Jaroszewicz, czuję się więc zwolniony od obowiązku dłuższego zatrzymywania się przy tym problemie, tym bardziej że w toku konsultacji przeprowadzonych w zakładach pracy, zgłoszono wiele istotnych uwag i propozycji do projektu zmian struktury cen w naszym kraju. Chciałbym natomiast skoncentrować uwagę Czytelników na tych elementach nie tyle może samego projektu zmian struktury cen, co po prostu obiektywnej konieczności uruchamiania nowych, bardziej udoskonalonych instrumentów gospodarowania, wśród których poczesne miejsce zajmuje c e n a.

Dalsza racjonalizacja naszej gospodarki, jej dynamizowanie nie jest już możliwe bez rozwiązania tego problemu. Jest to konieczność respektowania obiektywnych praw ekonomicznych bez czego wypaczeniu ulega działanie innych mechanizmów ekonomicznych, takich np. jak płaca, wydajność pracy, kształtowanie i to aktywne dostaw towarów dla potrzeb rynku, a więc konsumpcji. Ulepszenie struktury cen w naszym kraju, ma zresztą na uwadze nie tylko, a raczej nie tyle, produkty powstające w przemyśle spożywczym, ale także stworzenie zupełnie nowych, bardzo aktywnych mechanizmów oddziaływających na produkcję naszego rolnictwa. A nie jest to łatwy orzech do rozgryzienia jeśli się zważy, że w naszych warunkach mamy do czynienia z 3,5 mln indywidualnych gospodarstw będących niczym innym jak jednostkowymi przedsiębiorstwami, gdzie powstają takie same indywidualne decyzje produkcyjne. W warunkach nowoczesnej gospodarki nie sposób też dłużej sankcjonować, utrzymywać deficytowość cen na wiele artykułów, gdyż alternatywa może być tylko uszczuplenie środków, które powinny i mogą być kierowane choćby na podwyższenie płac, rozwijanie gospodarki, inwestowanie.

Ale mimo wszystko — są to już szczegóły, do których jeszcze nie jeden raz będziemy z pewnością wracali.

Natomiast na dziś, kiedy nie ucichły wszystkie echa wydarzeń ostatnich dni, warto poddać pod rozwagę pewną istotną chyba myśl.

Jesteśmy krajem o znacznym stopniu dojrzałości gospodarczej oraz świadomości społecznej. Powinno to gwarantować spokojne, rzeczowe debatowanie o sprawach najtrudniejszych, tak skomplikowanych jak struktura cen. Może — służyłaby temu bardziej elastyczna niejako czyniona „w biegu" polityka ich określania, modelowania, co także mogłoby stanowić nie tylko szkołę ekonomicznej dojrzałości, ale i obywatelskiej postawy.

PLASTYKA

PROSTA, PROSTOPADŁA I ŁUK

Główny — z racji eksponowanego położenia — salon artystyczny Łodzi przy ul. Piotrkowskiej mieści obecnie jubileuszową wystawę 40-lecia pracy twórczej Bolesława Hochlingera. Otrzymaliśmy w ten sposób okazję do konfrontacji: z jednej strony — aktualnych odmian nadrealizmu i metafory na II Trienale w galerii parku im. H. Sienkiewicza; z drugiej: neokonstruktywistycznych tendencji współczesnej plastyki holenderskiej („Formy elementarne" w Muzeum Sztuki) i przedstawiciela polskiego konstruktywizmu 20-lecia międzywojennego Bolesława Hochlingera. Płynie z owej wielości konkretny pożytek a mianowicie możliwość jednoczesnego spojrzenia ku dwóm biegunom, między którymi rozgrywa się ewolucja sztuki w ogóle. Linia wykresu jej przemian od kilku lat wydaje się zbliżać ku figuratywnej metaforyce. Dobrze się więc złożyło, że łódzcy widzowie mogą zetknąć się raz jeszcze — poprzez Hochlingera — z konstruktywizmem in statu naseendi.

Artysta od 1931 r. był członkiem awangardowego Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków w Łodzi, uczniem Władysława Strzemińskiego, współpracownikiem i przyjacielem Stefana Wegnera, Anieli Menkes i Karola Hillera. Profil środowiska awangardy wczesnych lat 30-tych kształtował Strzemiński — animator pracy nielicznej, za to wspaniale zapisanej w historii polskiej sztuki tzw. „grupy łódzkiej". W kręgu Strzemińskiego ukształtował się styl Bolesława Hochlingera, konsekwentnie prowadzony ciągłą linią przez z górą 40 lat jego twórczej pracy.

Starannie przygotowana ekspozycja (zaopatrzona w obszerny i wyczerpujący katalog) rozpoczyna się pracami z okresu przedwojennego — nielicznymi jakie udało się ocalić a pochodzącymi głównie ze zbiorów łódzkiego Muzeum Sztuki. Ich naczelną zasadą było podporządkowanie kompozycji malarskiej wynikom, jakie malarz osiągał na drodze „konkretyzacji" i „obiektywizowania" natury, poszukiwania w niej podstawowych linii wyznaczających kształty — prostej lub łuku a następnie budowania konstrukcyjnej ramy-szkieletu, który wypełniany był kolorem w sposób nieprzypadkowy i zgodny z prawem równomiernego rozłożenia kontrastów. W myśl zasad szeroko pojętego kubizmu na płótnie istniał w ten sposób niezależny od natury ale ściśle jej odpowiadający — na zasadzie wyszukania konstrukcyjnego lub barwnego ekwiwalentu — obraz rzeczywistości („Pejzaż" z 1936 r.).

Z perspektywy czasu i pełnej niemal znajomości kubizmu lub post-kubistycznego konstruktywizmu doświadczenia Hochlingera wydają się klarownie proste, pociągające nawet dzisiaj. Pod rusztowaniem kresek i półokręgów uważny widz z satysfakcją może wyłowić znane sobie kształty przedmiotów złożonych w „martwą naturę" — jabłek, dzbanków i garnuszków. Swoją konkretyzację malarz prowadził do pewnego tylko momentu: zarysowania linii określających istnienie formy w naturze, lecz nigdy — odstąpienia od jej rzeczywistej logiki i ciężaru.

To zatrzymanie się w połowie drogi ku abstrakcji konstruktywizmu i rezygnacja z eksperymentowania nad rolą przestrzeni lub barwy różni poważnie linię twórczości Hochlingera od pozostałych członków „grupy łódzkiej", zwłaszcza jej mistrza Władysława Strzemińskiego czy Karola Hillera.

Przez cały okres powojennej twórczości Bolesława Hochlingera zbliżenie do natury staje się jeszcze silniejsze. Pejzaże, widoki starych fabryk i zabytkowej architektury są niemal realistycznym jej odbiciem, ubranym w kostium stylu lat 30-tych (gruba kreska opisująca prostopadłościenne lub koliste formy, czysty — jakby drgający i połyskliwy — kolor) ale zaprojektowany na swój tylko użytek.

Przez chwilę we wczesnych latach 60-tych pociągnęły artystę problemy faktury nakładanej grubo techniką impasto („Kompozycja" z 1961 r.). Wkrótce powraca do swej własnej tradycji i łatwo rozpoznawalnego stylu; okazuje się być przy tym wrażliwym malarzem, którego oko przywykło do konstruktywistycznej geometryzacji — wolnej jednak od właściwego tej tendencji chłodu i dyscypliny.

Jubileusz 40 lat pracy artystycznej zamyka okrągłą datą liczący się dorobek. Jego wartość jest dziś niemała; można jednak z przekonaniem założyć, że wzrośnie poważnie w miarę upływu czasu.

ANDRZEJ MAJER

FILM

„SPOTKANIE"

Wielokrotne adaptacje tych samych dzieł literackich są w dziejach kina zjawiskiem naturalnym. Przykładowo: czternaście razy adaptowano „Hrabiego Monte Christo", dwanaście razy — „Damę Kameliową" i „Nędzników", siedem razy — „Hamleta", sześć razy — „Quo Vadis?" i „Don Kichota", cztery razy — „Wojnę i pokój", „Annę Kareninę" i „Otella". Przykłady te, oczywiście, można by mnożyć. Poprzestańmy jednak tylko na przypomnieniu, że w odległości kilku lat zaledwie nasza, niezbyt przecież potężna, kinematografia, podjęła się realizacji powtórnej adaptacji „Lalki". I nie jest istotne to, że druga wersja ma swe telewizyjno-serialowe przeznaczenie. Ciągoty adaptacyjne filmu mają swe określone uwarunkowania i funkcje kulturowe. Lecz nie o klasycznej adaptacji chcę tu pisać.

Angielski film „Spotkanie", w reżyserii Alana Bridgesa, przypomina inny ciekawy trend w dziejach kina. Istnieje w nich nurt tzw. remake'ów — powtórnie realizowanych w oparciu o oryginalny scenariusz filmów. Dla uczciwości trzeba tu zaznaczyć, że pierwsza wersja „Spotkania", czyli głośny film Davida Leana z 1945 roku, oparty był o krótką sztukę angielskiego dramaturga Nöela Cowarda, sztukę jednak na tyle mało znaną, że jej życie rozpoczęło się właściwie dopiero na ekranie filmowym. „Spotkanie" jest więc filmem ilustrującym powroty kina do własnych źródeł — tematów, stylów i dzieł bez mała klasycznych. Pewną prawidłowością jest jednak fakt, że w większości przypadków, remake nie dorównuje pierwowzorom. „Spotkanie" Alana Bridgesa jest tego potwierdzeniem.

Film Davida Leana jest znany naszej publiczności, oczywiście tej starszego pokolenia. Lean obdarował przedstawiona przez siebie kameralną opowieść miłosną tak niezwykłym klimatem, że po latach nawet pamięć jego smaku powraca, a koncert fortepianowy Rachmaninowa, będący jego muzycznym współkomponentem, kojarzy się do dziś z obrazami przejmującego smutku tamtej starej opowieści. Historia filmu angielskiego odnotowuje przy tym „Spotkanie" Leana, jako ważną swą kartę. Uznano ten film, jako najpełniejszy portret brytyjskiej średniej klasy, z jej charakterystyczną mentalnością i powściągliwością uczuciową, jako utwór, w którym realizm obserwacji szedł w parze z klimatem iście poetyckim, a kreacje aktorskie Celii Johnson i Trevora Howarda pozostały widzom na długo w pamięci.

Tych wszystkich cech i zalet starego „Spotkania" nie można niestety, odnaleźć w nowej wersji tego filmu. Para głównych aktorów — Sophia Loren i Richard Burton (oglądaliśmy już ich w tym roku razem w „Podróży" Vittorio de Siki), nie zdołała dorównać mistrzostwem gry swym poprzednikom. Piękna Sophia Loren z rzadka tylko bywa dobrą aktorką i w tym filmie z celebrą obnosząc swą urodę, zbyt mało uwagi poświęca psychice postaci, którą gra. Nieco ciekawszy od swej partnerki, Richard Burton, też nie osiągnął szczytów swych aktorskich możliwości. W gwiazdorskiej obsadzie widzę zatem jedną z przyczyn nijakości i banalności filmu Alana Bridgesa.

Zdaję sobie sprawę z tego, że jego „Spotkanie" musiało być inne, niż „Spotkanie" Leana. Decydująca tu była inna sytuacja społeczna i obyczajowa, w której żyją dziś bohaterowie tego filmu. Ta sytuacja może sprawiła, że dramat moralny dawnych bohaterów, dziś ma inny wymiar, a intensywność uczuć nie ma swej poprzedniej mocy. Decyzja rozstania nie ma podbudowy w poczuciu odpowiedzialności, jest bardziej wyrazem wygody i braku odwagi, tchórzostwa nawet. W kontekście pamięci o poprzednim, smutek tego filmu płynie zatem, jak gdyby spoza samego dzieła. Wywołuje go świadomość, że ludzie współcześni nie są zdolni do wielkich uczuć i wyrzeczeń, słowem, przeżywania wielkich dramatów. Reżyser filmu próbuje owa łatwość rozstania tuszować, brzmi to jednak pusto, gdyż puste są dusze osób pozornego dramatu. Nudzącej się w swym ślicznym domku w gronie rodziny pani i sfrustrowanemu nieco wiekiem, zmęczonemu żoną, panu doktorowi, zdawało się, że są zdolni do wielkiego uczucia. Rozstali się, gdy z uczuciem tym trzeba było coś uczynić, gdy ukradkowe spotkania przestały go określać. Rozstanie w filmie Leana było dramatem, w filmie Bridgesa stało się dramacikiem. I nie jestem pewna, czy jest to wina, czy intencja drugiej wersji „Spotkania". Może wspomniana nijakość i banalność jest właśnie kluczem do tego filmu.

EWA NURCZYŃSKA

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji)
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC

MEDYCYNA W WOJSKOWYM MUNDURZE

z rektorem Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi, płk. doc. dr hab. med. JERZYM BOŃCZAKIEM - rozmawia Włodzimierz Stokowski

— Panie Rektorze, w wyniku wieloletnich zespołowych badań udało się naukowcom Wojskowej Akademii Medycznej wyodrębnić w komórce tkanki nowy czynnik, nie opisany w medycznym piśmiennictwie. Wskazuje to na fakt, iż WAM prowadzi szeroką działalność naukowo-badawczą.

— Prowadzimy taką działalność w ramach nauk medycznych, głównie z uwzględnieniem potrzeb wojskowej służby zdrowia. Akademia jest przede wszystkim placówką dydaktyczno-naukową oraz usługową w zakresie lecznictwa szpitalnego i ambulatoryjnego. Zgodnie z tym założeniem działalność naukowo-badawcza jest tylko częścią obowiązków nauczycieli akademickich uczelni i w hierarchii zadań znajduje się na właściwym miejscu. Przywiązujemy dużą wagę do twórczych poszukiwań naukowych zarówno w dziedzinie profilaktyki, jak i samego lecznictwa. Mamy na tym polu liczące się osiągnięcia nie tylko w skali kraju, jak choćby to, o którym pan wspomniał.

— Czy zechciałby Pan Rektor wyjaśnić na czym polega znaczenie tego odkrycia?

— W Zakładzie Patofizjologii naszej Akademii odkryto czynnik lizosomalny zawarty w granulocytach, który posiada właściwości pobudzające procesy gojenia. Ów czynnik, wyodrębniony w specjalny sposób, wprowadzony do rany doświadczalnej, powoduje przyspieszoną regenerację uszkodzonych urazem tkanek. Spostrzeżenie to może być wykorzystane praktycznie przy zabiegach chirurgicznych na ludziach wyniszczonych organicznie i zaawansowanych w wieku, kiedy procesy gojenia przebiegają bardzo wolno. Podawanie tego czynnika do ran, według naszych przewidywań, powinno oddać nieocenione jeszcze korzyści na przykład w leczeniu ran atonicznych, powstałych po napromieniowaniu rentgenem. Pracę dotyczącą tego odkrycia przedstawił doc. dr hab. med. Henryk Tchórzewski, kierownik Zakładu Patofizjologii WAM — między innymi — na konferencji naukowej w Amsterdamie. Badania te kontynuujemy.

— Tej miary osiągnięcia świadczą, że Akademia posiada wysoko wykwalifikowaną kadrę naukowo-badawczą.

— Tak, w systemie działalności naukowo-badawczej nasza kadra jest mocnym ogniwem Akademii. Jest stosunkowo liczna, ambitna, ofiarna, posiada gruntowne przygotowanie naukowe i duży potencjał inwencji twórczej. Tworzy ją grupa profesorów, docentów, doktorów habilitowanych, doktorów nauki i personelu technicznego. Stanowi ona duży procent ogółu nauczycieli akademickich uczelni i powiększa się z roku na rok. Aktualnie ponad sześćdziesiąt procent ogólnej liczby naszych pracowników naukowo-badawczych stanowią absolwenci WAM.

— Rozwój Akademii warunkuje ciągły rozwój naukowy nauczycieli akademickich WAM. Czy mechanizm tego sprzężenia funkcjonuje bez zakłóceń?

— Nie mamy pod tym względem trudności. Rozwój naukowy naszej kadry dydaktycznej nie odbiega od przeciętnej w cywilnych Akademiach Medycznych w kraju. Powiedziałbym, że na niektórych odcinkach jest nawet szybszy.

— Jakie prace naukowo-badawcze prowadzi Akademia?

— Obok problematyki objętej planem resortowym prowadzimy także badania w ramach programów koordynowanych przez instytucje innych resortów, jak również przez Polską Akademię Nauk, Instytut Gospodarki Komunalnej a także badania na zamówienie jednostek gospodarki narodowej takich, jak Zjednoczenie Przemysłu Farmaceutycznego „POLFA" spółdzielnie farmaceutyczne, Instytut Włókiennictwa, Instytut Przemysłu Skórzanego. Są to badania przeważnie o charakterze usługowo-ekspertyzowym.

Oczywiście prowadzimy też badania naukowe, objęte planem własnym naszych jednostek naukowo-badawczych, które stanowią odbicie zainteresowań, ambicji i kwalifikacji naukowych pracowników Akademii.

— Proszę o podanie paru przykładów prac badawczych, wykonywanych w ramach programów koordynowanych.

— Na przykład badania objęte tematyką problemów węzłowych Polskiej Akademii Nauk: „Profilaktyka leczenia zatruć środkami ochrony roślin"; następnie temat finansowany przez Instytut Gospodarki Komunalnej: „Biologiczne metody detoksykacji", badania przedkliniczne nowego preparatu wykonane na zlecenie Zjednoczenia Przemysłu Farmaceutycznego „POLFA", które umożliwia podjęcie prac klinicznych i wiele innych.

— A jeśli chodzi o badania objęte planem własnym uczelni?

— Ogólnie rzecz biorąc, Akademia wykonała w ramach tego planu liczne prace podstawowe i kliniczne, które wniosły określony wkład do rozwoju nauk medycznych. Duża wartość tych badań podnosi rangę Wojskowej Akademii Medycznej jako ośrodka naukowo-badawczego. Ważnym elementem badań objętych planem własnym jest stymulowanie wszechstronnego rozwoju pracowników nauki WAM oraz możliwość pełniejszego wykorzystania warsztatu naukowo-badawczego uczelni. W planie własnym WAM prowadzi jeszcze działalność propagatorską związaną z wykonywaniem filmów naukowych, oświatowych i dydaktycznych, z opracowaniami o charakterze poglądowym lub informacyjnym, a także z działalnością publicystyczną. Badania w tej grupie prac objętych planem własnym stanowią około dwudziestu procent naukowej działalności Akademii.

— Ile publikacji ma Akademia w swym dorobku naukowym?

— Na przestrzeni ostatnich lat wydaliśmy drukiem 20 podręczników, 84 skrypty, 8 monografii, 412 doniesień naukowych, 145 prac poglądowych, 51 prac popularyzatorskich, 1620 oryginalnych prac i sto kilkadziesiąt innych prac naukowych.

— Imponująca ilość.

— W sumie około dwóch i pół tysiąca. Będąc przy tym, pragnąłbym podkreślić stosunkowo niski jednostkowy koszt pracy naukowej, wykonano ją bowiem bez nakładów na osobowy fundusz płac.

— Wyróżniono jakieś?

— Owszem. Ponad dwadzieścia, nagrodami pozauczelnianymi, w tym również Nagrodą Ministra Obrony Narodowej.

— Panie Rektorze, jakie dalsze zadania stawia przed sobą Wojskowa Akademia Medyczna w zakresie działalności naukowo-badawczej?

— Pragniemy utrwalić zdobytą już pozycję w nauce polskiej. W związku z tym dążymy do podejmowania takich prac naukowo-badawczych, które najpełniej odpowiadają warunkom, możliwościom i potrzebom uczelni i gwarantują uzyskanie wartościowych osiągnięć. Wypływający z uchwał VII Zjazdu PZPR nakaz zwiększenia efektywności działania znajduje wyraz w programie doskonalenia działalności naukowo-badawczej naszej Akademii drogą koncentracji badań, polepszenia ich organizacji, rozszerzenia bazy technicznej oraz rozwoju kadry naukowej WAM.

Etap w który obecnie wchodzimy, to etap budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Duża skala postępu jakościowego oraz głęboka i wszechstronna modernizacja całego życia społeczno-ekonomicznego, ideowo-wychowawczego i polityczno-kulturalnego legła u podstaw opracowanych programów działalności Wojskowej Akademii Medycznej na wszystkich kierunkach jej działalności, w tym oczywiście i naukowej.

Poza strukturą instytutów, która pozwala na podejmowanie szerszych planowanych zagadnień naukowych w Akademii, przewidujemy tworzenie nietypowych, interdyscyplinarnych zespołów naukowo-badawczych, powoływanych do rozwiązywania określonych problemów. Podstawą do formułowania takich problemów i zadań będą, między innymi, obok programów naszego resortu, także programy badań naukowych Polskiej Akademii Nauk, placówek naukowych Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, Ministerstwa Nauki, Techniki i Szkolnictwa Wyższego, programy wynikające ze współpracy z jednostkami gospodarki narodowej, plany badań naukowych inicjowanych przez pracowników pionu naukowo-badawczego Akademii i inne.

— Czy istnieje jakiś ogólny szkic takich badań?

— Owszem. Rady Naukowe naszych instytutów opracowały już indeks proponowanych tematów badań naukowych z orientacyjnym określeniem nakładów materiałowych, finansowych jak również bazy technicznej. Po zaakceptowaniu problemów, które mają być przedmiotem prac badawczych, zostaną opracowane szczegółowe plany wykonania poszczególnych tematów.

— Wyniki nauczania?

— Podstawowa grupa podchorążych kończy studia w oznaczonym terminie. W bieżącym roku sto procent absolwentów otrzyma dyplomy ukończenia studiów i nominacje oficerskie. Mam na myśli Wydział Lekarski naszej Akademii. Farmację i stomatologię podchorążowie kończą później, bowiem studiujący te kierunki naukę pobierają w cywilnej Akademii Medycznej, w której obowiązuje inny tok studiów. Kończenie studiów w terminie stymuluje konkretny bodziec: kto je szybciej skończy i z dobrymi wynikami, ten dostanie lepszą lokatę. A opracowany przez nas system lokatowania podchorążych kieruje losami przyszłych lekarzy-oficerów. Jest on ze wszech miar słuszny i zdaje życiowy egzamin. Najlepsi absolwenci, pierwsi na liście lokacyjnej, trafiają do czołowych zakładów wojskowej służby zdrowia. Część spośród tych najlepszych zostawiamy w Akademii.

— Fakt, że podchorążowie studiują aż na dwóch wydziałach Akademii Medycznej, stwarza z pewnością podstawy do współpracy między WAM i Akademią Medyczną.

— Z Akademią Medyczną współpracujemy bardzo blisko już od wielu lat. Mamy na tym polu dobrą tradycję. Ale nie tylko dlatego, że studiują tam nasi podchorążowie; taka współpraca zwiększa potencjał naukowy i dydaktyczny obu uczelni i to już jest szersze zagadnienie. Staramy się świadczyć sobie wzajemnie jak najwięcej usług i to nie tylko w sprawach dydaktyki, lecz także w pracach naukowo-badawczych prowadzonych w obu uczelniach. Organizujemy wspólne obozy studenckie, bierzemy udział w różnych wspólnych wystąpieniach natury organizacyjnej. Słowem, w środowisku łódzkim pragniemy stanowić jedność dwóch akademii medycznych. Na przestrzeni ostatnich lat ten obustronnie korzystny proces integracyjny nabrał tempa i rozszerzył zakres.

— Jakie innowacje wprowadziła uczelnia dążąc do unowocześnienia procesu nauczania?

— Jest to jedno z najważniejszych zadań, jakie w tej dziedzinie postawiła przed nami partia. Sądzę, iż na tym polu Akademia ma dość duże osiągnięcia i dość dobre wyniki. Dawno już powołaliśmy do życia instytucję rad pedagogicznych, które szczegółowo analizują procesy nauczania na poszczególnych latach studiów. Organem niejako koordynującym ich działalność jest Senacka Komisja do Spraw Dydaktyki i Wychowania. Kieruje ona całokształtem procesu nauczania, jak również pracą ideowo-wychowawczą Akademii i stworzyła koncepcję wykształcenia lekarza-oficera, patrioty i internacjonalisty, przystosowanego do pracy w jednostce wojskowej. A zatem do procesu nauczania dołączyliśmy duży ładunek medycyny profilaktycznej i społecznej oraz umiejętnie wyważyliśmy proporcje poszczególnych przedmiotów nauczania. Żeby uzyskać ten spójny program, już na pierwszym roku Wydziału Lekarskiego zaznajamiamy podchorążego ze specyfiką jego przyszłej pracy w wojsku, przede wszystkim zaś z umiejętnością niesienia pierwszej pomocy, czego nie ma w cywilnych akademiach medycznych. W ten sposób modelujemy typ lekarza-oficera.

Zrealizowaliśmy nowatorską ideę tak zwanego przewodnika dydaktycznego. Jest to zbiór zagadnień dla wszystkich lat studiów medycznych, z którymi zetkną się studenci zarówno na wykładach, jak i na ćwiczeniach. Przewodnik zawiera treści programowe, wskazuje na wymagania, jakie stawia się studentom WAM, podaje formy sprawdzania wiadomości, terminy zaliczenia seminariów, terminy egzaminów i z jakich przedmiotów, i tak dalej. Przewodnik dydaktyczny pozwala studentowi na perspektywiczne planowanie rozkładu dnia w okresie całych studiów.

Dążąc do zastąpienia tradycyjnego wykładu nowoczesnymi środkami przekazu, wprowadziliśmy szereg nowych form wykładu. Na przykład zajęcia przy użyciu rzutników, przystosowanych do odbioru w świetle dziennym: gruntownie przemyślany i przeanalizowany wykład jest napisany na folii i przekazany przez aparat zwany foliografem. Dwa boczne ekrany demonstrują napisaną treść wykładu, natomiast trzeci ekran przekazuje schemat myślowy, ułatwiający analizowanie centralnego programu. Przygotowanie takiego wykładu, trwającego dwie godziny, wymaga około sześciu — siedmiu godzin bardzo złożonej pracy. Inna nowa forma nauczania: na ekran rzuca się, na przykład, dziesięć kolejnych obrazów rentgenowskich klatki piersiowej chorego. Studenci oglądają obrazy i opisują na kartkach własne rozpoznanie choroby. W ten sposób sprawdzają się sami. Jest to aktywna forma nauczania. Jeszcze inna: studenci obserwują na monitorach przebieg operacji chirurgicznej żołądka, mózgu, kręgu szyjnego lub jeszcze innych narządów. Wykład jest niejako słownym podkładem, towarzyszącym kolejnym stadiom operacji.

Jeszcze jeden przykład: tak zwany sylabus pojęć, albo inaczej: zbiór haseł. Jest to nowatorska forma nauczania w skali kraju. Jego autorem jest prof. dr hab. medycyny Andrzej Kulig, kierownik Zakładu Anatomii Patologicznej WAM. Najogólniej mówiąc, treścią sylabusa pojęć jest wyrobienie w studentach umiejętności hierarchizowania ważności przyswajanej wiedzy. Jest to koncepcja nauczania, do której adaptują się powoli i inne europejskie szkoły akademickie.

Chciałbym dodać, że w Akademii posługujemy się testowym sprawdzianem wiadomości studentów.

Tych kilka przykładów to zaledwie część wszystkich nowych form nauczania, które włączyliśmy już do procesu studiów w Akademii.

— Wprowadzając z powodzeniem — na co wskazują wyniki — wiele nowych, a nawet nowatorskich form nauczania, z jednej strony audiowizualnych, a z drugiej — aktywnych, Akademia bardzo daleko odeszła od kształtu tak zwanych tradycyjnych studiów.

— Z pewnością. Naszą działalność w tym kierunku będziemy rozwijać.

— Ostatnie pytanie: koła naukowe i indywidualny tok studiów?

— Te obie formy nauczania i cały proces dydaktyczny w uczelni są ze sobą sprzężone. Do kół przyjmujemy studentów, którzy mają ukierunkowane zainteresowania, zadowalające wyniki w nauce, znają jeden obcy język, są zdyscyplinowani, zaangażowani politycznie i społecznie, dobrze wykonują obowiązki żołnierskie. Z tej grupy studentów, najlepszych — to znaczy ze średnią ocen powyżej 4,5 — przyjmujemy na indywidualny tok studiów. Ci pracują już w zakładach, realizują własny program naukowy będący fragmentem dużej pracy badawczej prowadzonej w zakładzie, mają opiekuna, którym jest przeważnie kierownik zakładu. Jest to potencjalna kadra pracowników naukowo-badawczych.

— Proszę mi wybaczyć, Panie Rektorze, ale mam jeszcze jedno pytanie, teraz naprawdę ostatnie: Akademia jest ważnym ogniwem w systemie lecznictwa uspołecznionego w Łodzi a kwalifikacje lekarzy wojskowych i ich rzetelność społeczeństwo naszego miasta ocenia bardzo wysoko. To nie jest okolicznościowy komplement. Czy Akademia przewiduje utrzymanie tych usług lekarzy wojskowych na rzecz mieszkańców Łodzi?

— Prawie 60 procent łóżek w naszym szpitalu klinicznym przeznaczamy dla ludności cywilnej, nie uprawnionej do pomocy wojskowej służby zdrowia. W roku bieżącym hospitalizowaliśmy w klinikach Akademii ponad 6 tysięcy chorych osób cywilnych, dziesiątki tysięcy porad ambulatoryjnych udzieliły nasze polikliniki. Z opieki klinik WAM korzystają mieszkańcy wydzielonych rejonów Łodzi. Niektóre kliniki pełnią także ostre dyżury na rzecz miasta. Warto dodać, że pod naszym patronatem lekarskim znajdują się niektóre szkoły, domy opieki społecznej i zakłady wychowawcze. W ostatnim miesiącu jeden z domów rencisty wyposażyliśmy w cenny sprzęt medyczny. Nasi specjaliści spełniają funkcje wojewódzkich konsultantów. Udzielamy ponadto pomocy specjalistycznej chorym z sąsiednich województw, np. płockiego i piotrkowskiego, a także innych. Nasze świadczenia na rzecz miasta systematycznie rozszerzamy. Mają one charakter wieloprofilowy. Od kilku lat, w ramach letniej akcji ZHP nasi przedstawiciele prowadzą obozy zdrowotne dla młodzieży. Warto przy tym podkreślić, że w zakresie uspołeczniania naszych wychowanków mamy wiele godnych uwagi osiągnięć, jak na przykład działalność opiekunów społecznych, Studenckiego Koła Naukowego, szeroka działalność społeczna Związku Socjalistycznego Młodzieży Polskiej i inne. Krótko mówiąc czynimy wszystko, aby w miarę możliwości jak najlepiej służyć zarówno Siłom Zbrojnym, jak i naszemu społeczeństwu.

Spotykamy się w naszej działalności nie tylko z uznaniem wdzięcznych podopiecznych, ale również z konkretną pomocą ze strony władz partyjnych i administracyjnych miasta, która dla dalszego rozwoju uczelni ma szczególne znaczenie.

— Dziękuję za rozmowę.

NIE TYLKO HISTORIA

NOWE BADANIA

Coraz częściej dochodzą do nas wieści o arcyciekawych, doniosłego znaczenia badaniach historycznych, prowadzonych przy pomocy współczesnych technik obliczeniowych, a dotyczących zagadnień, o których historycznym zbadaniu trudno było dotychczas nawet marzyć. Mniej więcej od ćwierć wieku — dokładnej daty określić nie sposób — dokonuje się w nauce historycznej w świecie wielka rewolucja: historia dzięki pomocy innych dyscyplin społecznych, dzięki możliwościom, jakie stworzyły nowoczesne techniki obliczeniowe, wkroczyła na drogę wielkich przemian, sięgając pełną garścią po kwantyfikację. Horyzont badań historycznych rozszerza się w coraz większej mierze na to, co powtarzalne i anonimowe, co nie daje się zorganizować wedle kanonów kauzalizmu historiografii wydarzeniowej, ogarnia strefy dawniej niedostępne historycznemu badaniu. Metody badawcze, wypróbowywane zrazu na obszarze historii gospodarczej, ustawicznie rozwijane, stają się narzędziem coraz nowych gałęzi nauki historycznej. Badania kwantytatywne, posługujące się bardzo subtelnymi technikami, ogarniające dziś rozległe rejony historii demograficznej, antropologicznej, studia nad historią, którą można by nazwać klimatyczną, nowe badania nad zagadnieniami kultury — to tylko niektóre z obszarów, na których święci coraz większe triumfy nowa historia. Właśnie badania kwantytatywne — przekonują o tym choćby tylko rezultaty już przeprowadzonych prac radzieckich — potrafią oddać nieocenione usługi, co się tyczy historycznego rozpoznawania problematyki klas i grup społecznych, ruchów społecznych i politycznych, wszędzie tam, gdzie nauka dysponuje przetwarzalną, przy pomocy nowych technik, dokumentacją masową.

Entuzjaści nowej historii, choć na ogół zarzekają się, że nie jest ona i być nie może kluczem do wszystkiego, skłonni są upatrywać w niej uniwersalne niemal lekarstwo na wszelkie niedostatki, dotychczasowej nauki historycznej, przede wszystkim zaś na niepełny wciąż, mimo wszystkich wysiłków, obiektywizm historycznego poznania. Jeden z najbardziej energicznych dziś bojowników nowej historii w Europie, francuski uczony François Furet nie bez racji dowodzi, że w tradycyjnym dziejopisarstwie to, co uważamy za „fakty", jest przez historyków wybierane z ogromu dziejowych zaszłości wedle jakiegoś z góry założonego klucza, mianowicie z punktu widzenia przyjętej linearnej struktury dziejów, a więc — świadomie czy nie — z punktu widzenia jakiejś ich filozofii. Tymczasem F. Furet, podobnie jak wielu badaczy zachodnioeuropejskich, marzy o historii, która byłaby absolutnie wolna od wszelkiej filozofii dziejów, o historii — jak powiada — całkowicie aideologicznej i naukowo pewnej. I sądzi — nie on zresztą — że taką historią jest właśnie nowa, historia kwantytatywna, badająca wielkie „serie" zdarzeń dziejowych, absolutnie — w mniemaniu jej entuzjastów — wolna od wszelkiej ideologii i filozofii. I tutaj programowy nowator, jakim jest F. Furet, zaczyna... głosić poglądy zgoła tradycyjne: zapewne nieświadomie powtarza on, co mu wytykają jego krytycy, to co już dawno przed nim, tyle że w innym języku, powiadali pozytywistyczni zwolennicy scjentyzmu, pragnący zobiektywizowania nauki historycznej przez jej upodobanie do modelu nauk ścisłych i przyrodniczych. Bowiem nawet gdybyśmy, co jest rzeczą do wykonania, zdołali przy pomocy nowoczesnych technik obliczeniowych, całkowicie zobiektywizować proces poznania danego, badanego problemu, pozostaje coś jeszcze, co nie zależy od techniki badawczej, ale od nas samych, od naszego sposobu widzenia świata i jego historii, przyjmowanej przez nas hierarchii i skali wartości. Jest to wybór problematyki, którą uważamy za na tyle ważną, że warta zbadania. Odnosi się to w tej samej mierze do historii tradycyjnej, co do najbardziej nowoczesnej wśród historii kwantytatywnej historii „serialnej". Nie ulega bowiem wątpliwości, że również i „seria", tak samo jak „fakt" w tradycyjnej historiografii, nie „wybiera się" sama, ale czyni to historyk, nie tylko dlatego, że dana seria „jest" (w przeszłości), ale dlatego, że sądzi on, iż można ją zbadać (są źródła) i że uczynić to... należy. To ostatnie zaś, zupełnie tak samo, jak w tradycyjnej historiografii, wynika z wiedzy źródłowej i pozaźródłowej, a zatem zależy od tego świadomościowego kompleksu uwarunkowań poznania historycznego, od którego niektórzy myśliciele, tęskniący do historii „czystej" i aideologicznej pragnęliby tę naukową dyscyplinę „uwolnić". Można by dalej ciągnąć tę myśl i pokusić się o wykazanie, na przykładach wykonanych już badań, że historia „serialna", tak jak inne rodzaje „nowej historii" może pełnić nie tylko funkcje ideologiczne, ale wręcz polityczne, i to nie gorzej, niż tylekroć oskarżana o uleganie presji polityki tradycyjna historiografia „wydarzeniowa", historyzująca, opisowa, jak zwą ją jej współcześni krytycy.

Tak więc wbrew nadziejom niektórych zapalonych zwolenników komputeryzacji historii, „nowa" skomputeryzowana historia, choć przynosi bardzo wiele nowego, nie przezwycięża odwiecznego dylematu nauki historycznej: społecznego, mówiąc językiem marksizmu, charakteru poznania, czy jego społecznych uwarunkowań. I dlatego — również wbrew nadziejom entuzjastów „nowej historii" — jest tych „nowych" historii wcale sporo, i to o odmienych obliczach ideologicznych. Komputeryzacja nie zredukowała bynajmniej różnic między historiografią burżuazyjną, a marksistowską, chociaż techniki nowoczesnych badań historycznych dawno przekroczyły granice państw i ustrojów. Nie jestem specjalistą od innych nauk społecznych, ale myślę, że i tam jest podobnie.

Wszystko to nie oznacza, by nowa historia, rozwijana czy to w Związku Radzieckim, czy we Francji, czy w Stanach Zjednoczonych, nie mogła się pochwalić ogromnymi osiągnięciami. Warto sobie zdać z tego sprawę, że dzisiaj w świecie, nie tylko w tak potężnych państwach, jak Związek Radziecki czy Stany Zjednoczone, ośrodki historii kwantytatywnej powstają jak grzyby po deszczu, nieraz przy prowincjonalnych uniwersytetach. Dzieje się tak w wielu krajach, we Francji, w Anglii, a również w krajach skandynawskich. Wymaga to przede wszystkim... pieniędzy, środków materialnych, bo na intelektualnych możliwościach jakoś jak dotąd, uczonym nie zbywa.

LEKTOR

JERZY S. FELIKSIAK

NIEDZICA

Niedzica!
— łaską natury
wyniesiona pod niebo.
Tu zamek skrzydła rozwinął
jak puchacz w locie nad skałą.
Świerki pną się na mury
po cieniach dawnych honwedów.
A z lochu skacze do oczu
Janosikowa zuchwałość.

Tratwy wciąż płyną Dunajcem,
kołysząc pejzaż z legendy.
Na głazach woda zielona,
jakby się nurt zazielenił.
Od rannej zorzy do zmierzchu,
flisacy ciągną ten przepych,
aż ręce im trzeszczą z bólu
a pot ich przylgnął do Pienin.

✶ ✠ ✶

Na progu stara podkowa
spod kulawego konia,
więc szczęście kruche jak kość.
Pod wyszczerbioną powałą
na parzenicy pająk.
Obraz jak skóra rąk.

Wbrew słońcu los dni przygarbił.
Noce wciśnięte w habit.
Pod progiem robak jak pies.
Życie już zdarte na sękach
jak postrzępiony rękaw.
Zamiast ambrozji sok drzew.

Wiatr zdarł gont z białą gałęzią.
Nad domem górska drapieżność:
jastrzębie, jodły i piarg.
Zamiast urzeczeń — podkowa
spod kulawego konia,
październe i ostrość szczap.

BOŻENA STRZAŁKA

✠

rozpoczynam walkę
z melancholią
rozpostartego we mnie
banału
przetwarzam ją
w logikę
słowotwórczych znaczeń
w drapieżny sens gestów
w samokpinę
z niegdysiejszych tkliwości

✠

podaję ci słowa
w hojności ich znaczeń
kryje się symbol przyszłości

podaję je łagodnie
wydobywając z kłębowiska znaków
te które
oddalą nas
zredukują wspomnienia

✠

skoro
nie możesz odnaleźć
mnie w sobie
o d e j d ź
skoro
odkrywasz się w niej
z o s t a ń
zacznij jednak od
znalezienia swego
miejsca w samym sobie

✠

być poetą
to żyć przewrotnie
na płaszczyźnie wydarzeń
dać z siebie wiersz
to dotrzeć do treści człowieka
przybić ramę słów
i zawiesić w muzeum wyobraźni

✠

bądź moim
dziś
złącz propozycje codzienności
ukierunkuj nakazy dnia
nałóż im habit zaufania
nasącz jutrem
wysychające
wczoraj

✠

odchodzę od ciebie
na krok dnia
wplątuję w splot okoliczności

jestem na krawędzi marzenia

chcę odejść tak daleko
aby nie warto już było
wracać

JAN HUSZCZA

EPIZODY

Coś takiego! Zadzwonił do mnie do biura Heniek, że bawi w naszym mieście służbowo, wyjątkowa okazja, aby spotkać się, najlepiej gdzieś na obiedzie w restauracji, gdyż pewnie kiepsko mieszkam, i powspominać dawne czasy. Ma się rozumieć, jakbyś spadł z nieba, ucieszyłem się, a potem zapytałem, skąd on wie, gdzie ja pracuję, że się dodzwonił, a on na to zaśmiał się do słuchawki, że to już jego sprawa, a trzeba pamiętać, że nie widzieliśmy się może i dwadzieścia lat, bo on mieszka aż w Lidzbarku, choć czasem człowiekowi się wydaje, jeżeli zapomni o kalendarzu, że wszystko było tak niedawno, coraz bardziej wszystko było tak niedawno, przynajmniej poczynając od paru ostatnich lat w gimnazjum, do którego kiedyś, przed wojną, chodziliśmy, chodził i Heniek...

No to obaj kilka razy ucałowaliśmy się, obaj powiedzieliśmy sobie, że się prawdziwie cieszymy i potem, jeszcze przed zupą, stuknęliśmy się kieliszkami, mówiąc — no to cyk!

Gadu — gadu, wódeczki w butelce ubywa, nie szkodzi, zamówi się drugą, i naraz dowiaduję się, że przed miesiącem zmarła Halinka. Ileż ona miała lat, zapytałem starego koleżkę i natychmiast sam odpowiedziałem: no, no, pewnie jakieś czterdzieści siedem... Tak jest. Urodziła się przecież w sierpniu 1922 roku. W tym samym momencie, a może jeszcze wcześniej poczułem, człowiek zawsze w myślach jest świnią, coś w rodzaju ulgi, słowo daję, że Halina — przecież nie moja żona, ani jakakolwiek krewna, kobieta, której tak dawno nie widziałem — umarła! Gdyby to było o wiele wcześniej, pewnie nawet ucieszyłbym się, choć czy to możliwe, bo przecież o wiele wcześniej, jakieś bez mała trzydzieści lat temu, mógłbym to sobie obliczyć dokładniej, ale po co, kochałem się w tej Halinie, która wtedy miała jeszcze panieńskie nazwisko. I w tym samym momencie, ale wychylając resztę wódki z kieliszka, a może trochę nawet wcześniej, może trochę później odczułem zmartwienie: ja będę miał niebawem prawie pięćdziesiąt pięć, zdrowie nietęgie, więc i dla mnie pewnie życia niewiele zostało.

Najciekawsze, że to się od razu odezwało — po tylu latach! Moja żona nazywa się Paulinka, mąż Haliny nazywa się Mirski. Oj, od jakiegoż to czasu nic o sobie nie wiedzieliśmy?! A tu aż nawet jakaś dziwna, powiedziałbym, że głupia i nieprzyzwoita ulga, a najpewniej tylko przeskok przez lata, jakieś jak w teatrze podniesienie kurtyny, jakieś powrót ni stąd ni zowąd do czegoś, co kiedyś zdarzyło się.

Było to, powiedzmy, ósmego, a może dziesiątego dnia wojny polsko-niemieckiej. We wszystkich rozmowach o niczym innym nie mówiono, dominował w nich niepokój, ale wśród nas, młodzików, cała sprawa przedstawiała się inaczej — nie docenialiśmy sytuacji, czekaliśmy na karty powołania, jedni zapewne z ukrywanym lękiem, inni z pragnieniem i ciekawością. Ci drudzy byli weseli na plaży, dokazywali, było przecież tak słonecznie, a woda rzeźwiąca, cicha. Jedno, co nas łączyło, to niemożność wyobrażenia sobie wojny — stoją obie strony naprzeciwko siebie czy jak, jedni biegną do przodu, a drudzy uciekają, czy jeszcze jakoś inaczej?

Należy wspomnieć i o radości. „Ciało pedagogiczne" — uszczuplone, gdyż paru oficerów rezerwy jeszcze przedtem znalazło się w szeregach — widocznie zwąchało, co się święci, a może to był jakiś dawny zwyczaj. Wydano nam śpiesznie — tylko chłopakom, nie dziewczynom — właściwie na patatajkę czy na kredyt, świadectwa maturalne, choć do ósmej klasy gimnazjalnej chodziliśmy zaledwie kilka dni i nie wszyscy jeszcze mieli nawet skompletowane podręczniki, miały nadejść do księgarni Polskiej Macierzy Szkolnej, niektórzy właśnie szyli sobie u żydowskich krawców nowe mundurki, teraz szukali na niegotowe amatorów z niższych klas.

A więc ósmego, a może dziesiątego dnia wojny szedłem późnym rankiem, mając kieszenie wyładowane klapsami, w kierunku magistratu. Między stojącymi po przeciwległych stronach niezabrukowanej w tym miejscu ulicy — nie naprzeciwko, ale w pewnej odległości — piętrowym budynkiem magistratu z czerwonej cegły i białym, otynkowanym budynkiem, także piętrowym, gimnazjum było najciekawiej. Co jakiś czas burmistrz wychodził na ganek, postawny był, choć niemłody, by opowiedzieć o najświeższych wiadomościach, a przede wszystkim stamtąd czasem odjeżdżały furmanki z młodymi i starszymi mężczyznami do wojska, najpierw jednak do Powiatowej Komendy Uzupełnień. Najwięcej tam kręciło się kobiet, zwłaszcza, gdy odjeżdżały furmanki. Zresztą, to były dni, w których ludzie po prostu musieli gdzieś się zbierać, przyłączać się do luźnych grupek, zmieniać je, słuchać lub gadać, stawać w milczeniu na uboczu. Przed wybuchem wojny takim miejscem był rynek, ale ten opustoszał prawie nagle tuż po dwunastej w piątek, pierwszego września, po orędziu Prezydenta, nagle zatarabaniły po bruku wszystkie furmanki z tego rynku, bo na jarmarki zjeżdżano się do miasteczka właśnie we wtorki i w piątki.

Szedłem więc sobie z nadgryzioną gruszką w jednym ręku, patrzę, a przede mną śpiesznie podąża Halinka. Najpierw jej z przyjemnością się przyglądałem, potem zaś ją dopędziłem.

— Halina, dokąd tak lecisz?

— Żeby ciebie pożegnać!

— Mnie? Głupie żarty... — zdziwiłem się jak najbardziej szczerze.

— Jak to?! Przecież chłopcy postanowili jechać na ochotnika, burmistrz obiecał im furmankę.

— Jacy znowu chłopcy?

— Nie udawaj. Nie po to wam dali matury, żeby wylegiwać się na piaseczku nad wodą i włazić na grusze.

Poczęstowałem ją jedną. Owszem, brałem udział w rozmowie tych sześciu czy ośmiu chłopaków, ale im się sprzeciwiłem. Od tego są władze i w ogóle starsi ludzie, a nie żeby samym się pchać. I jeszcze mówiłem, że nie wszyscy od razu będą potrzebni, Polska jest duża, wojna może potrwać, a nas muszą najpierw przeszkolić, choć mamy za sobą dwa lata wcale dobrego pe-wu czyli przysposobienia wojskowego. Zostawili mnie samego przed kościołem i poszli nad rzekę, śpiewając „Pierwszą Brygadę", która miała ładną melodię, a i słowa niebrzydkie.

Gdyby tak prędko nie odeszli, pewnie zdecydowałbym się z nimi, ale ja, jak wszędzie, chciałem najpierw dyskusji. A pies z wami tańcował, zamruczałem pod nosem na ich pożegnanie.

I w tym miejscu muszę trochę opowiedzieć o sobie. Zawsze byłem uparty i przekorny. Ho, ho... Teraz to już od dawna taki nie jestem, cóż: życie! Ale wtedy? Repetowałem parę klas, bo uważałem się za matematyka i fizyka, a nie obchodził mnie rozbiór arcydzieł literatury. Gdy na walnym zebraniu wybieraliśmy nowy zarząd uczniowskiego samorządu, zawsze wysuwałem kandydatury kolegów, którzy najmniej mieli szans. „Nie zbierałem się" przed gmachem gimnazjalnym, żeby iść czwórkami do kościoła na nabożeństwo, ale przychodziłem na mszę sam. Stawałem oddzielnie, tak jednak, żeby kto trzeba mnie widział i nie mógł mi zarzucić absencji. To ja, kiedy czasem rozmawialiśmy o wiadomościach z gazet, dowodziłem, iż póki jest nędza i są wojny — kobiety powinny strajkować i przynajmniej nie rodzić chłopców. Itd... itd...

Teraz zaś, jak to się mówi, nagła krew mnie zalała. Przecież od dwóch lat i to bardzo pilnie łaziliśmy z Halinką. Ona w zeszłym roku zdała maturę, choć była ode mnie młodsza.

— Halina, to tak ci śpieszno mnie pożegnać?

— Nie, ale jestem Polką.

— A ja jestem Polak, ale nie mogę uwierzyć, że chcesz, abym wrócił bez ręki czy bez oka, albo czym prędzej w mogile ciemnej legł na wieki.

— Pan Zagajewski to sam syna namówił, żeby poszedł na ochotnika.

— Jego sprawa, jego syn.

— Ale Polska zmaga się ze śmiertelnym wrogiem!

— Mam nadzieję, że jeszcze zdążę się przydać.

— Wiesz, Ziutek, że czego jak czego, ale tego nigdy się po tobie nie spodziewałam.

Patrzyła na mnie zgorszona, jakoś tak ładnie zgorszona, oczy jej były jeszcze ciemniejsze niż zwykle, wydawała mi się cała zgrabniejsza niż kiedykolwiek.

— Jedziesz?

— Nie...

Halino, zawołałem parę razy, ale ona się nie odwróciła. Gdyby się odwróciła, być może, wszystko potoczyłoby się inaczej. Może pojechałbym, dajmy na to, następnego dnia, byle już tylko nie z tymi „bohaterami Haliny".

Zawróciłem do domu, byłem zły, nie chciało mi się niczego, próbowałem krzątaniny na podwórku, myślałem o różnych sprawach, ale ani razu nie przyszło mi do głowy, że ta rozmowa z Haliną będzie ważna i wiele razy będę ją sobie przypominać, więcej nawet, będę ją nieraz czuł jak jaką zadrę, a nawet drzazgę w sobie.

Bo Halina nie dała się przebłagać. Owa siódemka czy szóstka bohaterskich ochotników — nazywałem ich odtąd pogardliwie szczeniakami, byli w dodatku młodsi o jakie dwa-trzy lata ode mnie — wróciła na trzeci dzień. Po prostu, PKU odesłała ich do domu. Ale oni teraz chodzili wieczorami po alei Poniatowskiego jak jacyś wyróżnieni, a ja byłem w oczach Haliny dezerterem, nie zerwałem się na pierwszy zew. Jeśli któryś z tamtych żyje, to może nawet w życiorysach dla personalników podał, że poszedł na ochotnika do wojska, co jednak nie było, jak ze wszystkiego widać, ani prawdą, ani kłamstwem.

Przecież kochaliśmy się, do diabła! Dobrze nam było ze sobą. Teraz jednak wszystko się rozpadło przez co? A tylko przez to, że nie zechciałem, zgodnie ze swoim usposobieniem, wziąć udział w przejażdżce do powiatu, chociaż muszę to bezstronnie przyznać, iż nie musiała stać się przejażdżką. Nawet niekiedy wydawało mi się, że głupio postąpiłem, trzeba było się przejechać razem ze szczeniakami, a potem... potem już myślałem, cholera jasna, tylko o tym, jak się zrehabilitować. Nie w oczach Haliny, nie! Tylko ot tak sobie, dla własnej przyjemności, bo przecież i wtedy nie wszyscy świeżo upieczeni maturzyści pojechali. Dla mnie i dla Haliny (tak przypuszczam, że i dla niej, bo po jeszcze jednej paskudnej rozmowie zerwaliśmy na amen) stało się ważne, że nie pojechałem ja, Zenek!

W wiele lat później opowiedział mi pewien starszy pan, co przeżył, gdy jeszcze jako student odmówił udziału w pojedynku. Odmówił naprawdę z przekonania, że to idiotyczny, barbarzyński zwyczaj. Przecież podobno ginęli na przykład mężowie w pojedynkach z przyłapanymi kochankami swoich żoneczek. Mało, że taki facet wytentegował człowiekowi żonę, ot dla chwilowej przyjemności, to jeszcze pokrzywdzony mąż może zginąć albo w lepszym wypadku odnieść ranę. Fajnie, nie ma co! I ów pan „z lepszego towarzystwa" po jakimś czasie w końcu sam spowodował okazję do pojedynku, wziął w nim, szczęśliwy zresztą udział, aby tylko przekonać to swoje zafajdane środowisko, że wtedy wycofał się rzeczywiście ze względu na zasady.

Inna rzecz, że sprawa pojedynku a sprawa spełnionego obowiązku żołnierskiego to sprawy różnego kalibru. Właściwie to bez powodu ten jegomość przyszedł mi do głowy...

Ja nie miałem zamiaru, wierzcie mi, uchylać się od obowiązku, tylko to powinno było zależeć ode mnie, a tu ta cholerna Halina, która mnie wtedy, ósmego czy dziesiątego dnia września koniecznie chciała pożegnać, być może, na zawsze!

Hm... Kto wie, może miało jakieś znaczenie i to, że od lat widywałem pana Arciszewskiego, przecież mieszkał w jednym z domów w tym samym rzędzie przy naszej ulicy. Nie miał ręki i oka, czarną kreską przez łeb biegła opaska. Dosłużył się stopnia porucznika, otrzymał wysokie odznaczenie, którego miniaturkę miał w klapie marynarki, teraz wiem, że było to Virtuti Militari, ale do końca życia był bez ręki i bez oka. Przychodził na uroczystości narodowe w mundurze, godny i jakiś taki wyróżniający się, bo ani to wojskowy, ani cywil. W dodatku nie on jeden był inwalidą z tamtej wojny, ale on jeden, tylko on jeden pojawiał się jak jakie uosobnienie — czego właściwie? A że miał gwiazdki na naramiennikach, budził szczególny szacunek. Nim za chwilę ujrzałem Halinę, minąłem go, nisko ukłoniłem mu się, od chwili wybuchu wojny chodził znowu na co dzień, po dwudziestu pewnie latach, w mundurze — trochę innym niż normalni wojskowi.

Przyszła, tak bardzo prędko, okupacja. I wierzcie mi, teraz opanowało mnie pragnienie, żądza nawet — można i tak powiedzieć — by czym prędzej się wykazać. Taka niecierpliwość i pragnienie nie są rozsądne, one właściwie mogą zrealizować się jak najgłupiej. Zdobyłem rewolwer, nie było o to trudno, i postanowiłem po prostu w biały dzień zastrzelić na ulicy jakiegoś umundurowanego okupanta. Inna rzecz, że na ich widok za każdym razem coś w człowieku aż dygotało. Szczeniaki w tym czasie o niczym takim nie myśleli, a jeszcze w miasteczku nie było tak źle, żeby nie pójść na jakiś wieczorek taneczny, chodzili na nie, choć z upływem czasu ich także wziął los w swoje obroty. Paru z nich dawno gryzie ziemię. Niepotrzebnie gorszono się, że tańczą!

Ale mnie idzie o mnie...

Dobrałem sobie koleżkę z tych, co to wtedy nie pojechali do PKU, postanowiliśmy wiać przez granicę, ma się rozumieć, że do Francji.

Słaby jest człowiek i próżny, bo jednak nie wytrzymałem i w przeddzień wieczorem zapukałem od podwórka do szyby w oknie pokoju Halinki. Wyszła. Opowiedziałem jej o moim zamiarze. Teraz, wyobraźcie sobie, ona się sprzeciwiła. Że tamto puszcza w niepamięć! Że jak my sobie z tym Jurkiem we dwóch poradzimy? I takie różne dyrdymałki. Że wreszcie robię to dla niej, a nie z poczucia patriotycznego obowiązku.

A skąd mogłem wiedzieć, z jakiego powodu to robię?! Pewnie, jak zawsze, z różnych powodów. Może chciałem Paryż obejrzeć, bo tyle o jego wesołym życiu czytało się i słyszało?

Płakała, rzuciła mi się w ramiona, całowaliśmy się jak przed owym ósmym czy dziesiątym dniem pięknego, upalnego września, gdy wrzosowiska, jak o tym opowiadano, były przegrzane od słońca a lasy płonęły od wybuchów.

I żeby się streszczać, zniknąłem w ciemnościach!

„Gdziem nie był! com nie cierpiał..." To z **Pana Tadeusza**, którego uważnie i z zainteresowaniem przeczytałem dopiero w Anglii, gdym jako lotnik — strzelec pokładowy, a właściwie już jako były lotnik, kurował się w szpitalu.

Kiedy po wojnie znalazłem się w kraju, pytałem o dawnych kolegów przy każdej sposobności, chcąc jednak czegoś dowiedzieć się przede wszystkim, tak przynajmniej sądzę, o Halince.

Ponieważ miasteczko było zniszczone zamieszkała w Olsztyńskiem, wyszła za mąż za Mirskiego, który nie należał do owych „szczeniaków", miała córeczkę i synka. Daj im Boże!

Postarałem się tylko, żeby do niej, ale nie ode mnie, dotarła wiadomość o byłym strzelcu pokładowym. Gdy się upewniłem, że dotarła, a o to było łatwo, w pierwszych latach po wojnie to dawni przyjaciele czy kumple z młodości jeździli daleko i niewygodnie, byle by tylko się zobaczyć, ruch więc był duży, komunikacja między ludźmi tajna i pocztowa była ożywiona.

Ja też zmieniłem stan cywilny. Z trudem, pomaleńku, ale jakoś się urządziłem, coś się przywiozło przecie i w plecaku i w torbie. Miało się gorycze, jeszcze jakie, nie przyjmowano nas kwiatami, u władz spotykaliśmy się z nieufnością... To jednak nie należy tutaj do rzeczy.

Jasny gwint, przez jakieś pierwsze lata często przypominała mi się Halinka, chciałbym ją zobaczyć, żeby jej wszystko opowiedzieć, czasem prowadziłem z nią coś w rodzaju sporu.

Najtrudniej było z pytaniem, które niekiedy we mnie coś szarpało jak haczyk u wędki, gdy go rybka zbyt głęboko połknie. Może rzeczywiście wtedy stchórzyłem, nie byłem przygotowany do wzięcia udziału we wspólnym losie? Bo przecież owego ósmego czy dziesiątego września ani ja, ani Halinka, nie mogliśmy przypuszczać, że szczeniaki po trzech dniach wrócą do domu. To zupełnie idiotyczne: człowiek sam nie może ustalić na pewniaka swoich własnych powodów, cóż dopiero inni, którzy jednak chętnie to robią za niego?!

No to, cyk!...

Halinka, proszę ja was, nie żyje, a że sprawa rozegrała się tylko między nami, bo znałem jej charakter, to już została ostatecznie, definitywnie i absolutnie, jak mawia mój dyrektor, rozstrzygnięta.

Dzielna była dziewczyna, powiedziałem do Heńka. A ponieważ mieliśmy w sobie poważną ilość wódy, przyszedł mi do głowy głupi pomysł:

— Wypijmy za jej pamięć! I za pamięć wszystkich z naszej budy!

Heniek, bo ciągle wzajem o kogoś pytaliśmy, zawadził jakoś o Wacka. A już trochę zaczynał się jąkać, gdyż siedzieliśmy w restauracji długo, może nawet za długo.

Wybuchnąłem śmiechem.

— Owszem, czasem go widuję. Jest prokuratorem czy też sędzią! Ale dopiero teraz wiem, czemu mnie unika!

— Cz-cz-czemu?

— At, stare dzieje. Szkoda każdego słowa...

I nie opowiedziałem, że Wacek zwędził kodaka. To marka znanego przed wojną aparatu fotograficznego. Kodak to nie to, co teraz aparaty fotograficzne wedle kieszeni i wedle chęci! Kto mógł u nas mieć kodaka? Może trzech, może pięciu chłopców w całym gimnazjum! Po paru dniach Wacek sam mi go odniósł i nikt się o tym nie dowiedział. Wiedziano tylko, że aparat się znalazł. Niby dlaczego Wacek nie miał zwrócić mi kodaka?! Żeby fotografować, to trzeba wyjść na miasteczko, na ulicę, trzeba ustawić jakąś grupkę koleżanek czy kolegów, nie pójdzie przecież gdzieś za most fotografować krzaki i wodę, rozejdzie się pogłoska, że Wacek ma kodaka, a skąd go ma?

Kiedy nazajutrz odprowadzałem Heńka do pociągu, a mogło to być równie dobrze nasze ostatnie spotkanie, to przyszło mi do głowy, że najlepsza powieść, jaką w życiu przeczytałem, to **Przeminęło z wiatrem.** Margaret Mitchell: **Gone With the Wind!** Może nawet nie sama powieść, chociaż bardzo ciekawa, ale najlepszy tytuł!

Staruszka z toporkiem

Dalszy ciąg ze str. 1

może opowiedzieć. Zaczęło się od tego, że syn z Francji przyjechał już na nowe mieszkanie, no i spodobało mu się. Prezenty różne dostała od niego, ale tylko niektóre — te tańsze pokazała sąsiadkom. Dostała od syna taką zasłonkę ze sznurków wiązanych w pęczki, w drzwi żeby to zawiesić. Te sznurki były z jakiejś afrykańskiej rośliny. No więc, żeby to zawiesić musiała zdjąć drzwi. Jakoś jej poszło, jeszcze taka stara nie jest. Dopiero później kłopot jej się narobił, bo gdzie te drzwi schować. Chodziła z pół godziny po mieszkaniu za jakąś skrytką ale drzwi to nie igła. W końcu wymyśliła, że schowa do tapczanu. Wyjęła pościel, drzwi przyciągnęła i do środka jakoś weszły, ale niecałe, bo o kawałek były za długie.

Jak te drzwi były już w środku, to sił nie miała, aby je wyjąć. Pościeliła sobie do spania na dywanie, bo była już chyba z dwunasta w nocy. I wtedy się zaczęło. Ktoś w drzwi zaczął walić, tak — du, du, du kilka razy. Dwunasta godzina — myśli sobie — to może mój świętej pamięci nieboszczyk Jasio. Może się kto będzie śmiał, — ale ja tam w duchy wierzę. Ale jak znów zaczął walić, to nikt inny tylko bandzior jaki albo złodziej, drzwi zamknięte ale strach strachem. A jak już sobie św. pamięci Jasia przypomniała to pomyślała, że i teraz jej może pomóc. Zawołała:

— Jasiu, otwórz drzwi, ktoś puka!

Do samotnej kobiety to się dobija, ale jak usłyszy, że chłop jest w domu, to może pójdzie — tak sobie wymyśliła. Tamten jakby nie słyszał, dalej się dobija, to już ze strachu tak jej serce waliło aż jej się zrobiło słabo. Nie wiedziała, co robić bo i sąsiedzi nic się nie odzywali a pewnie słyszeli walenie. Boją się, czy co? Ale tak już się wystraszyła, że nie wytrzymała i na balkon wybiegła, zaczęła krzyczeć — ratunku mordują, bandyta, złodziej! Cicho, noc, to i niosło po osiedlu. Światła w domu się zapaliły od parteru do dziewiątego piętra. Ludzie się zlecieli pod drzwi, więc otworzyła. Ale nikt obcego nie widział, śmiać się nawet zaczęli, że się jej przyśniło. Ona nie kłamie, bo naprawdę ktoś walił i nic nie mówił. Ona tam swoje wie.

Na drugi dzień do MO poszła i powiedziała temu milicjantowi, co za balustradą siedział, jak tam w nocy było i że ją zamordować chcieli. Zapisał wszystko, a jak o ochronę poprosiła, to zaśmiał się tylko, że nie mogą przy każdym funkcjonariusza stawiać do pilnowania. Jak jej nie chcą chronić, to nie. Wzięła pieniądze i na rynek pojechała. Tam kupiła toporek, taniej ale wagę swoją mający i ze styliskiem na jakieś pół metra. Wróciła z tym toporkiem na komisariat i na balustradzie położyła, żeby lepiej widzieli i żeby pretensji do niej później nie mieli. Jak kto zapuka, to ona otworzy po cichu i tym tasakiem buch po łapach. Ludzie myślą, że jak ona 85 lat ma, to już ją ograbić można, albo tak bez niczego zamordować.

2

— Staruszka z toporkiem? Była, pewnie, że była, bo niedługo, jak komuś paproch w oko wpadnie, to do dzielnicowego przyjdzie. Ale co ja mam jej pomóc, przecież nikogo pod drzwiami nie postawię żeby pilnował. Panie, cały rejon mam duży, ale z połowa wszystkich spraw to jest z tego domu. Ten co pan mówił, że go sąsiad atomami bombarduje też u mnie był. Warunki przecież mają takie, że tylko pozazdrościć, wszyscy z nimi jak z jajkiem i czego im się jeszcze zachciewa, tak latać ze skargami. Śmiać się chce jak z głupotami przychodzą na komendę, ale ludzie starsi przecież, a z drugiej strony jak sobie człowiek pomyśli, że też go to czeka — jakoś inaczej patrzy na te wydziwiania.

3

Mówi się o ludziach starych, że dziecinnieją, dziwaczeją, a jest ta opinia świadectwem ludzkich postaw wobec dzieci i wobec ludzi starych. Można te różne rejony życia ludzkiego porównywać, bo wydaje się, że są one w równym stopniu nieznane, tajemnicze, trochę niewytłumaczalne i irracjonalne. Często śmieszą i dziwią swoimi odmiennymi prawami. Tylko czy wolno powiedzieć, iż to co odbiega od uznanej przez nas normy, naszego racjonalizmu, jest gorsze? Powinniśmy stawiać sobie to pytanie coraz częściej, bo jest to rodzaj kształcenia, tolerancji i akceptacji oryginalności, a także rozumienia innych bez zubażających uproszczeń. Tak! Jest przecież w naszym — nie dziecięcym i nie starczym społeczeństwie — tendencja do uniformizacji zjawisk rzeczywistości i opinii, zapewniająca komfort psychiczny związany ze świadomością, iż tajemnic nie ma, rozgryźliśmy wszystko.

Pisze Władysław Tatarkiewicz:

„Starość sama przez się nie jest czymś niedobrym. Ale jak każdy inny okres życia może być lepsza lub gorsza,

Aby była lepsza muszą być spełnione pewne podstawowe warunki. Przede wszystkim będzie dobra, jeśli człowiek stary zachowa usposobienie pogodne lub zgodne. Pogodne, aby dostrzegał smak i urok świata, a zgodne — żeby mógł żyć z innymi — bez kłótni i swarów, w harmonii i życzliwości..."

WALDEMAR MAREK WIŚNIEWSKI

Szewc Kopytko i Kaczor Kwak dla dzieci Teheranu

W sierpniu Teatr **„Arlekin"** sprezentuje dzieciom Teheranu sztukę Kornela Makuszyńskiego **„Szewc Kopytko i Kaczor Kwak"**. Teatr ten — jako jedyny polski teatr lalkowy — został zaproszony do **Teheranu** na festiwal teatrów lalkowych. Jest to niezwykle oryginalny festiwal. Rozpoczął się 18 czerwca 1976 roku, a skończy się 20 sierpnia 1976 roku. Przed młoda publicznością Teheranu wystąpi dziewięć teatrów lalkowych z różnych krajów. Każdy teatr daje po sześć przedstawień w teherańskim amfiteatrze, obliczonym na 700 widzów.

„Arlekin" został zaproszony do Teheranu przez dyrektora departamentu teatrów lalkowych INSTITUTE FOR THE INTELECTUAL DEVELOPMENT OF CHILDREN AND YOUNG ADULTS w Teheranie — **Ardeshira Keshavarzi,** który był w Łodzi i oglądał przedstawienia tego teatru. **„Arlekin"** wystąpi przed teherańską publicznością jako ostatni z zespołów, a więc od **13 do 20 sierpnia.**

Oryginalność teherańskiego festiwalu polega na tym, że jest to przegląd teatrów lalkowych z różnych krajów przeznaczony tylko dla widzów. Występujące przed teherańską publicznością zespoły wzajemnie się nie będą widziały, a jeżeli nawet to tylko te, które skończyły występy i te, które zaczynają. Nie będzie tam żadnych spotkań i dyskusji o problemach teatrów lalkowych. Festiwal przeznaczony jest przede wszystkim dla dzieci Teheranu.

„Arlekin" wybrał ze swego repertuaru **„Szewca Kopytko i Kaczora Kwaka"** przede wszystkim dlatego, że jest to sztuka łatwa do sprezentowania zagranicznej, dziecięcej publiczności, aktorzy występują w maskach, co pozwoli tę sztukę pokazać w amfiteatrze.

— Nie każdy program — stwierdza dyrektor „Arlekina", Stanisław Ochmański — **przygotowywany dla lalkowej sceny można pokazać w amfiteatrze. Ten akurat spełnia takie wymagania.**

„Arlekin" jest teatrem popularnym wśród łódzkiej publiczności dziecięcej. Podejmuje wiele akcji i szuka nowych sposobów dotarcia do małego widza. Ostatnio **„Arlekin"** przygotował **„Czerwoną czapeczkę"** według tekstu **Hanny Januszewskiej,** z którym odwiedza łódzkie przedszkola. Również w przedszkolach pokaże **„Przygody Wiercipięty" Józefa Pehra.** Akcja ta spotkała się z uznaniem. Przedszkola chętnie zapraszają teatr. A teatr ma możliwość nawiązywania trwalszych kontaktów z młodym widzem. Jeden spektakl można pokazać prawie 170 razy. A jest to nie tylko pokazanie konkretnego spektaklu. Jest to też uczenie dzieci teatru. Ten teatr, który za chwilę rozpocznie swoje przedstawienie, powstaje w przedszkolu „z niczego". Dzieci mogą obejrzeć sobie lalki, widzą, jak tworzy się dekoracje, uczestnicza też w akcji sztuki, jaka rozgrywa się przed ich oczyma.

„Arlekin" szuka też innych form kontaktu z widzem. Dyrektor **Stanisław Ochmański** zgłosił propozycję występów teatru w poszczególnych dzielnicach. Chciałby, aby zespół przez dłuższy czas mógł występować w dzielnicowych lub fabrycznych domach kultury. Propozycja ta nie znalazła jeszcze uznania, jako że domy kultury chętnie widziałyby wizyty teatru lalek, ale w czasie znacznie krótszym. Należy jednak spodziewać się, że i ta akcja **„Arlekina"** znajdzie swoje urzeczywistnienie.

Obecnie zespół przygotowuje — korzystając z tego, że zawieszono występy przed publicznością — nowe widowisko według tekstu **J. W. Goethego „Pieśń o lisie"**, a także przygotowuje się do wyjazdu do Teheranu. Do sierpnia jeszcze sporo czasu, ale trzeba przygotować omówienie **„Szewca Kopytko i Kaczora Kwaka"** w języku angielskim, a także przygotować całe wyposażenie, aby wytrzymało trudy dalekiej przecież podróży.

L. W.

NIE MA ZMIERZCHU

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI

Nie wierzę w starość, bo zobaczyłem na scenie kabaret „Bi-ba-bo". A jest to zespół, którego członkami są ludzie mający za sobą szmat życia. Jest to jednakże grupa ludzi młodych, poruszających się na scenie z werwą, jakiej niejeden prawdziwy młokos mógłby im pozazdrościć. Średnia wieku — 61 lat. Najmłodszą członkinią tego jedenastoosobowego zespołu jest pani mająca 60 lat, a najstarszym w tym gronie artystą jest pan liczący sobie zaledwie 82 lata. To bagatelka, zwłaszcza, że ma się zapał i prawdziwy hart ducha, a przy tym, co najważniejsze, świadomość czynnego uczestnictwa w życiu kulturalnym miasta i kraju. Świadomość ta jest najlepszym lekarstwem na niedomagania wieku. Nikt nie uwierzyłby na przykład, że **Irena Wołosz,** która na scenie tańczy z gracją kankana i śpiewa swobodnym jak i ciekawym głosem, przebyła prawie trzydzieści lat temu ciężką chorobę kręgosłupa, i mimo iż ta choroba okazała się nieuleczalna, nie załamało to pani Ireny.

— To nic, że po każdym występie — mówi Irena Wołosz — **leżę na desce z bólem. Wtedy najgłośniej brzmią w moich uszach brawa widowni, którą nadal mam przed oczyma, i która jest zawsze jak jeden uśmiech. To się liczy, to jest ważne, to właśnie podnosi na duchu.**

Ludzie z „Bi-ba-bo" są skromni, niewiele o sobie mówią. Sam więc musiałem wyszperać informacje o ich życiu. Wręcz fenomenalną postacią jest w tym zespole **Jan Pietrzyk.** Urodzony 8 czerwca 1900 roku (obecnie mieszkaniec Domu Kombatanta w Łodzi), jest wieloletnim działaczem amatorskiego ruchu artystycznego. Od wczesnych lat swej młodości stale organizuje, prowadzi i wzbogaca swoim talentem aktorskim sceny amatorskich teatrów. To on, usłyszawszy, że w Krakowie powstał reprezentacyjny zespół emerytów i rencistów **„Pogodna jesień"**, postanowił rozpocząć podobną działalność w Łodzi. Wspólnie więc z reżyserem znanego łodzianom teatru „Problemy", **Wiesławem Szczotkowskim,** podjęli natychmiastową decyzję. I tak powstał klub emerytów i rencistów **„Wesoła przystań"** przy Międzybranżowym Domu Kultury **„Energetyk"** w Łodzi. Z tego to klubu wywodzą się członkowie kabaretu **„Bi-ba-bo"**, przy czym niektórzy z nich są stałymi członkami zespołu aktorskiego „Problemów".

„Bi-ba-bo" a „Problemy" to jedno, bowiem omawiany tu spektakl kabaretowy jest kolejną, jak wszystkie poprzednie, świetną propozycją teatru „Problemy". Propozycją, którą nazwać by można wspomnieniem, jako, że jest to spektakl-eksponat, albowiem kabaret **„Bi-ba-bo"** istniał w Łodzi na przełomie XIX i XX wieku przy ulicy R. Traugutta, w miejscu gdzie dzisiaj jest hotel „Savoy". Był to kabaret dla ówczesnej biedoty miejskiej. „Problemy" prezentuje ówczesne piosenki, skecze i teksty, koloryt i atmosferę tamtego „Bi-ba-bo".

Interesującą postacią spośród członków dzisiejszego kabaretu **„Bi-ba-bo"** jest **Ignacy Mazur,** były mistrz remontów maszyn transportowych w łódzkiej „Elektrociepłowni". Od szeregu już lat jest pan Mazur członkiem teatru „Problemy". Dzisiaj, kiedy jest już rencistą, oprócz tego, że często widzimy go na scenie, kieruje także pracami technicznymi teatru „Problemy".

Warto przypomnieć, że przy teatrze „Problemy" istnieje Studium Aktorów-Amatorów (rok założenia 1969), finansowane przez Wydział Kultury Urzędu Dzielnicowego Łódź-Górna. Nic więc dziwnego, że już dzisiaj spotykamy na deskach zawodowych teatrów polskich ludzi, którzy pierwsze kroki w drodze ku aktorstwu stawiali na scenie Domu Kultury „Energetyk".

Wacław Kieliszek — majestatyczna postać. Mówi się o nim, że jest to były arystokrata, bo kiedy się widzi go na scenie, sprawia wrażenie człowieka, który całe życie przechodził w eleganckim fraku. A przecież ubiorem codziennym pana Wacława był przez wiele lat mundur kolejarza.

Jest w tym zespole także były mistrz piekarski, **Roman Barański.** A oto pozostali, nie wymienieni jeszcze artyści z **„Bi-ba-bo": Jadwiga Łuczak, Stanisława Kotlicka, Jadwiga Kornacka, Roma Michałowska, Helena Matusiak, Bernarda Tafet.**

Ujrzałem ich wszystkich po raz pierwszy w trakcie przeglądu zespołów artystycznych ruchu amatorskiego w dzielnicy Łódź-Górna, odbywającego się w ramach przeglądu aktywności ludzi pracy pod hasłem **„Człowiek — Praca — Twórczość"**. W pełni doceniam wysiłek „Bi-ba-bowców", nie licząc li tylko dobrego wykonawstwa, znakomitej reżyserii, bogactwa rekwizytów i scenografii. Liczę tu przede wszystkim wkład pracy społecznej tego zespołu w przygotowanie ich barwnego spektaklu. Stroje i scenografia są również ich wyłącznym dziełem. Gdyby bowiem liczyli na pomoc finansową ze strony któregoś z sześciu bodajże mecenasów Międzybranżowego Domu Kultury **„Energetyk"**, ich kabaret byłby zapewne dopiero w próbach. Jestem jednakże pewien, że nikt z dyrektorów **„Fonici"**, **„Elektrociepłowni"** czy **„Wólczanki"**, by nie wymieniać pozostałych mecenasów, nie widział jeszcze spektaklu **„W kabarecie Bi-ba-bo"**. A szkoda.

Myślę, że władze kulturalne dzielnicy pomogą w zdobyciu, mecenatu, a przynajmniej godnie zastąpią jego brak. Bo chociaż „Bi-ba-bowcom" wystarcza dobre słowo ich reżysera, to jednak warto pamiętać, że prawidłowe kierowanie kulturą, to głównie właściwe zagospodarowanie jej bazy, którą stanowi każdy ludzki zespół, nie zaś tylko miejsce i jego gospodarczy inwentarz.

POWIEŚĆ W ODCINKACH (4)

RYSZARD BINKOWSKI

BIAŁE ŚWIATŁO

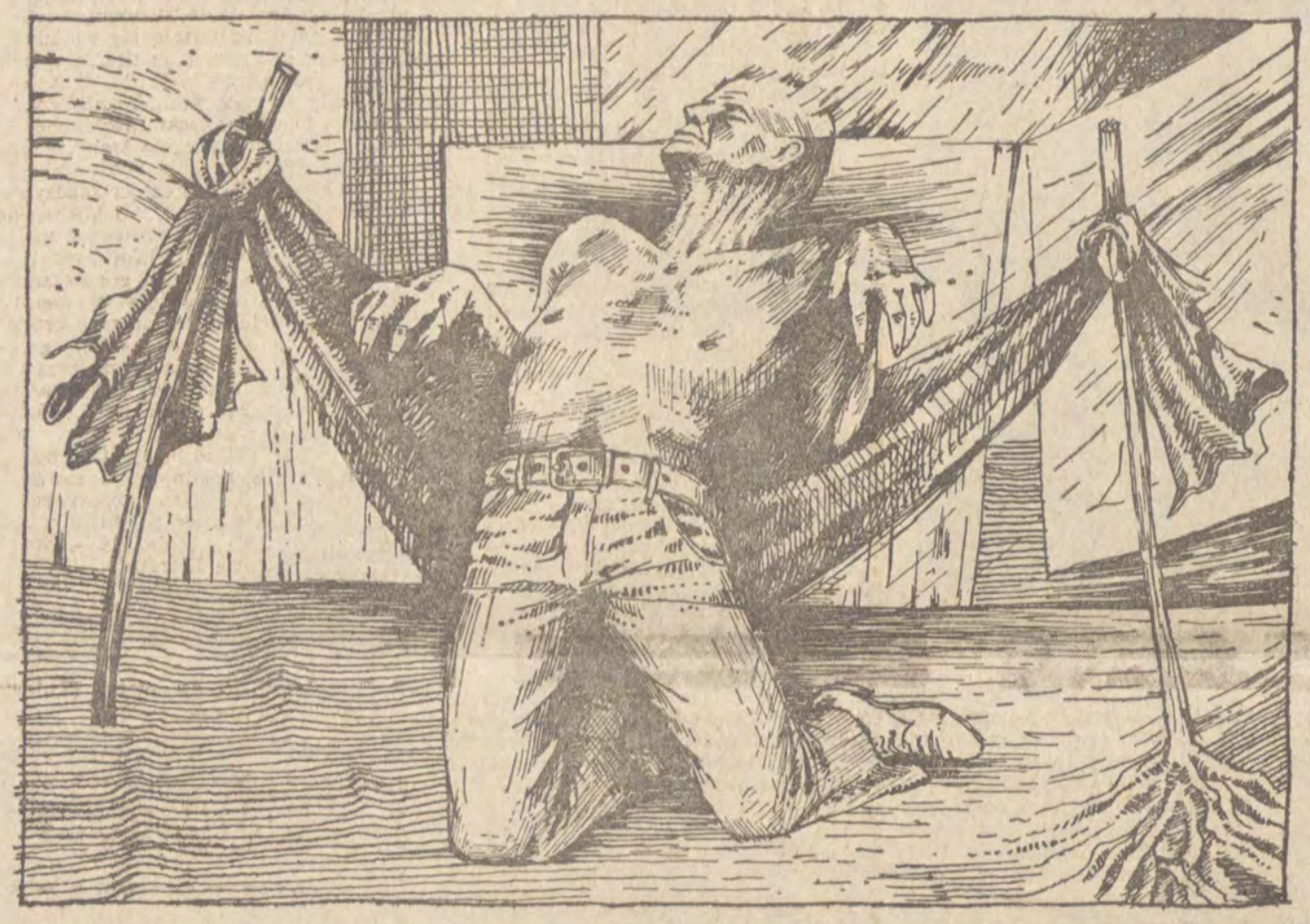

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Bolały go te słowa. Przez pierwsze dni trzymał się od ludzi z daleka, ale już po tygodniu, kiedy zaczęli psykać, że udaje ważniaka i odwraca się tyłkiem do robotnika, poszedł na pełny luz. Zresztą dłużej nie zniósłby samotności.

Podzieleni na grupy, pili pod pół bochenka chleba i paczkę smalcu. Zaraz po robocie, w świeżym zapachu schnącej w kozłach cegły. Albo nad buchającym żarem i pyłem piecem.

— Będziesz pan odpowiadał za tych ludzi — ostrzegał kierownik. — Mam dom i po godzinach nie będę was pilnować.

Zaprawiali się szybko. Marcin zamykał się w kantorku. Po godzinie szedł pod studnię. Napełniał wiadro wodą, odnajdywał wśród rozwalonych kozłów popitych strycharzy, lał wodę na łby i odprawiał do domu. Najwięcej kłopotu sprawiał mieszkający pod lasem garbaty Pluta. Był to wątły chłopina o bladej twarzy, ze zrudziałym od tytoniu wąsem i czerwonymi jak u angory oczyma. Najostrzejszy gazmajster, którego zwalało dopiero w połowie drogi do domu.

Szroniasty grudzień czaił się wśród pól. Pod szopy wciskał się ziąb, przeto żal było opuszczać ciepłe miejsce nad piecem. Picie przeciągało się do późnych godzin wieczornych. Zostało jeszcze pół litra, kiedy Plutę złamało niespodziewanie. Chrapał w kącie, nikt nie zwracał na niego uwagi. Jęknął raz, drugi i zaczął wściekle drapać się po całym ciele.

— Muchy go obsiadły — powiedział ten z katralek.

Pluta zerwał się na równe nogi i począł zdzierać z siebie ubranie.

— Oho! — mruknął jeden z kopaczy. — Już włazi babie do łóżka!

Stary upadł na podłogę. Czołgając się między pokrywami palenisk, wył jak opętany:

— Matko Boska, idą i idą, skąd ich tyle?! O Jezu, wielkie jak krowy, patrzcie, ludzie, o Jezu!

— Znowu widzi te wszy — szepnął chudy taczkarz.

— Pomóżcie mi go ubrać — powiedział Marcin. — Damy go na dwór, żeby trochę otrzeźwiał.

Wyciągnęli starego z szopy i posadzili pod ścianą. Pili dalej.

— Gdzie Pluta?

Marcin spojrzał nieprzytomnie w twarz kierownika.

— Musi gdzieś być — powiedział.

— Stoi tu jego rower.

— To szukaj pan! Trzeba go odprowadzić do domu.

Znalazł Plutę za szopą, śpiącego na pryźmie obornika. Ściągnął go z cuchnącej pryzmy, wychlastał po gębie i naszprycował wodą. Pluta przyszedł trochę do siebie. Otrząsnął się i wyjął spod fufajki ćwiartkę.

— Dreszcze mnie biorą — powiedział szczękając zębami.

— Wal pan do chałupy, baba rozgrzeje!

— A jakby my tak poprawili?

— Dawaj pan tę butelkę! Na jutro się przyda.

— A gówno!

Pluta ukrył butelkę pod fufajką i oddalił się popychając z wysiłkiem rower.

Wypił pewnie tę ćwiartkę zaraz za cegielnią i znów go zamroczyło, gdyż dopiero nad ranem dotarł do asfaltowej drogi, gdzie trzasnęła go duża ciężarowa skoda.

Ludzie zatrzymywali się w tym miejscu, oglądając duże brunatne plamy na asfalcie.

Marcin bał się spojrzeń zgromadzonych kobiet. Ale nie mógł ominąć małej, siwowłosej Pluciny. Podszedł, sięgnął do kieszeni po pieniądze.

— Niech pani weźmie — powiedział wyciągając rękę.

Kobiecie zatrzęsła się broda.

— Widzicie?! — krzyknęła przez łzy. — To on! Ten moczymorda! Przez niego to wszystko!

Plunęła mu w twarz i odwróciła się. Ludzie rozstępowali się szemrząc.

Pomyślał wtedy o matce. Że to mogła być również ona. Zapragnął nagle znaleźć się w Bukowcu.

Wrócił tam, do cegielni za wsią. W stróżowskiej przybudówce za piecem gorąco, nie trzeba kupować opału. Lżej przeżyć zimę.

— To mówisz, żeś pohulał przez ten rok? — zagadnął stróż.

Nie odpowiedział. Myślał właśnie o tym pierwszym wieczorze, kiedy włóczył się z Garbusem po uliczkach Bukowca. Zaszli pod okna świetlicy. Usłyszał muzykę. Zajrzał przez szybę do środka. Zobaczył pochyloną nad pianinem kobietę w zielonym swetrze. Garbus powiedział, że to jedna nowa, i odszedł.

Zdobywszy się na odwagę, otworzył drzwi. Kobieta grała nadal, patrząc na niego wielkimi czarnymi oczyma. Nie wiedział, co robić. Chciał zostać i pragnął wyjść.

Delikatnie zamknęła wieko pianina. Wstała, obciągając sweter.

— Lubię sobie pograć — powiedziała.

Stał zmieszany jak uczniak. Oznajmiła, że już wychodzi, co wprawiło go w jeszcze większe zakłopotanie. W milczeniu szedł za nią aż do podwórka za „Zajazdem". Stał, słuchając jej kroków na schodach. Garbus trącił go w ramię i szepnął, że nic z tego, bo to Maria, nowa magisterka z apteki.

— Jakoś nie widać po tobie bogactwa — westchnął stróż. — Święta za dwa tygodnie. Kwatera jest, ale z żarciem gorsza sprawa.

— Poszukam czegoś.

Wieczorami stróż pił i śpiewał stare ruskie piosenki, wspominając szerokie stepy.

— Tobie — mówił — przejść tylko pole i jesteś w domu. A ja bez tę cholerną wojnę na zawsze odszedł od swego. Na wielkie moje nieszczęście.

— Źle wam?

— Córka mi się tu skurwiła! Oczy masz, widzisz.

— Jest, jak jest.

— O, nie! Nie może tak być, żeby dziewucha grała z chłopakami w piłkę kopaną i żopę pokazywała.

— Bo to jedna gra!

— A ja tobie mówię, że ona macicę ma przekręconą. Jak dziewczyna nie czuje na sobie chłopa, to piłkę musi kopać. I kto na taką spojrzy, powiedz?

Znużyły go te wieczory. I te stróżowskie gorzkie żale. Pojechał do miasta, aby rozejrzeć się za pracą.

W pośredniaku bez entuzjazmu wysłuchiwał informacji o wolnych etatach w dużych miejskich przedsiębiorstwach. Z konieczności czytał ogłoszenia na tablicach. Było tylko miasto, a on wolał gdzieś z boku. Jakieś małe przedsiębiorstwo, gdzie nie trzeba codziennie silić się na grzeczności, szyk i uniżoność.

Wszedł do baru, zamówił piwo. Obok stanął szczupły, czarnowłosy mężczyzna. Marcin obrzucił go niechętnym spojrzeniem.

— Solówki szkodzą — powiedział czarnowłosy. Uśmiechnął się przyjaźnie. Smagła, pociągła twarz, ciemne oczy, patrzące przenikliwie. Na blacie białe dłonie o smukłych palcach.

— Zależy, co kto lubi — burknął Marcin.

— Setę pan gruchniesz? Postawię!

— Facet z taką mową musi mieć jakiś interes.

— Właśnie! Mam taki jeden — powiedział mężczyzna podsuwając kieliszek. — Czarny się nazywam, kadrowiec. Wyglądasz na inteligenciaka. Patrzyłem za tobą w pośredniaku.

— Ładnie to tak?

— Taki zawód. A ty po czym?

— Technikum ekonomiczne. O co chodzi?

— Robota jest. W Trzebieńcu, zakład transportowy.

— Znam.

— Bagienko, ale można się dostroić.

Postawił drugą setkę. Sam nie pił.

— Weźmiesz się do roboty, to ci mieszkanie załatwię w Pabianicach.

— Nie takie proste.

— Znam kogoś, wiele mi zawdzięcza. Omal go nie zadziabali w knajpie. Wybroniłem go przed bandziorami.

Fajny chłopak. Równiacha, swojska dusza. Marcin czuje we łbie miły szmerek, nie chce się opuszczać knajpy.

Nazajutrz znalazł się w szarym, zakurzonym pokoju. Za biurkami siedziało trzech starszych urzędników. Ciasno, dwie szafy, kratowane okno z widokiem na plac. Na placu kupy żwiru i pryzmy grysiku. Za nimi wył agregat, zwany krematorium, wytwarzający masę bitumiczną.

Pobrał zaliczkę. Po pracy spotkał sąsiada ze wsi, który w tym dniu sprzedał na targu krowę, i popili nielicho.

— Wyniesz się z tej cegielni, dobrze ci radzę — zaczął gospodarz.

— Dlaczego?

— A jak tak można, bez ojca i matki?

— Nie mogę. Jak tylko zobaczę szwagierka, ręce zaczynają mi latać.

W Bukowcu czekał Garbus. Weszli do „Zajazdu".

— Garbus, zlewki gotowe! — krzyknął jakiś chłopak spod ściany.

— Synu — powiedzał Garbus — masz szczęście, że u mnie ręka wybrakowana!

— Źle z tobą — mruknął Marcin.

— Wierzysz w te zlewki? Ja mam forsę. Ale jestem chrześcijanin. Przed śmiercią ojciec zakopał forsę pod kapliczką, nie mogę jej ruszyć ze świętego miejsca. Cyganów bym najął, ale wykopią pieniądze, a mnie łeb urżną!

— Źle z tobą — powtórzył Marcin.

— Z tobą jest źle! — zdenerwował się Garbus. — Przepowiadałem ci, gnojku, aleś nie słuchał starszego.

— Sam mi pomogłeś.

Garbus podsunął Marcinowi do oczu lewą dłoń poharataną bliznami, o bezwładnych, powykręcanych palcach.

— Taka jest — stęknął — a taka była. — Pokazał prawą dłoń, większą, poczerwieniałą, nabitą odciskami. — W czterdziestym szóstym ludzie się budowali. Na dachu siedzieliśmy, wypici, i jeden trzasnął siekierą. Trochę bólu i skończyło się...

Marcin pogłaskał wykrzywione palce, usiłując je rozprostować.

— Nie da rady. A na mandoli przycinałem! Wieczorami matka szyła na maszynie, słuchała i popłakiwała. Takie tęskne, od serca kawałki grałem.

Ręka Garbusa wydawała się Marcinowi coraz większa. Rozwierały się długie, pokrzywione palce, sięgały twarzy, wbijały się brudnymi paznokciami w szyję...

— Artyści, kurza wasza niedola! — krzyknął. — Sami artyści! Blondyn też artysta, co?!

Opadł na stół. Ujrzał niewyraźną, żółtą plamę, która w pewnej chwili poruszyła się i zaczęła gadać...

Otrząsnął się z lepkiej wilgoci, mrużąc oczy w mocnym świetle. Ktoś, rozwierając mu trzonkiem łyżki zaciśnięte zęby, wlewał do ust jakiś płyn. Leżał z przymkniętymi oczyma, wypływając powoli z przygniatającej ciemności.

— Zapaść mu nie grozi — usłyszał.

— Ludzie omijali schodki przed „Zajazdem" — mówił Garbus — tylko pani podeszła.

Marcin spojrzał spod przymkniętych powiek. W małym pokoiku, tuż przy drzwiach siedzał skulony Garbus. Za stołem dziewczyna, która grała w świetlicy na pianinie. Zupełnie trzeźwy, poderwał się z wersalki.

— Głupio pani zrobiła! — wykrzyknął.

— Nie lubię, kiedy młody człowiek leży w nocy przed knajpą — powiedziała Maria.

W przedostatni dzień urlopu mieli pojechać w góry, do dziadków Marii. Autobus był cholernie zatłoczony. Marcin nie lubił takich podróży. Wmieszał się niepostrzeżenie w tłum i uciekł z przystanku.

Kupił pół litra z kłoskiem i poszedł do Staszka. Żona była w pracy, Staszek struty całonocnym tankowaniem. Z ochotą wyciągnął drugą butelkę.

Skończyło się na trzylitrowym kanistrze piwa.

Teściowa nawet na niego nie spojrzała. Maria, płacząc cicho, pakowała walizkę.

— Ja przestrzegałam — mruknęła teściowa. — Nie trzeba było zaczynać z pijaczyną.

Odjechali najbliższym pociągiem.

Przez kilka dni dzieliło ich milczenie.

Maria w tajemnicy przed nim załatwiła kupno mebli na raty. Przywieźli je wynajętą w Trzebieńcu ciężarówką. Siedziała na odkrytej platformie, wiatr rozwiewał jej włosy. Dotykała mebli, cieszyła się jak dziecko.

— Będą na nowe mieszkanie — powiedziała. — A kiedy zamieszkamy w mieście, nikt nas nie będzie znał. Zapomnisz o „Zajeździe", Garbusie i Blondynie.

Oby tak było, pomyślał. Urlop, to pierwsze załamanie, które może pociągnąć następne. Kochał Marię, ale zaczął już zastanawiać się, czy znajdzie w niej jeszcze coś nowego, nie odkrytego. W pierwszych miesiącach łączyły ich noce. Teraz, w okresie zaawansowanej ciąży, Maria stała się niedostępna. Odczuwał potrzebę silnego wstrząsu, pełnego rozładowania.

Złote i szare dni wrześniowe. Codzienna pisanina na tych samych formularzach, szaro pośród papierów usianych tasiemcami cyfr. Nowy kierownik, stary cwaniak, niby chory. Laską się podpiera. Ale kiedy wzywają go do dyrektora, rzuca laskę i gna, aż dudni w korytarzu.

Z niepokojem patrzył na wzdęty brzuch Marii. Czepiały się go wredne myśli. Wybrał Marię. Ona zawsze powinna należeć do niego, nie wolno jej utracić. A dziecko? Jest cząstką jego krwi... Ale gdyby zaszła konieczność, to przede wszystkim należałoby ratować Marię...

W blade październikowe popołudnie mieszkanie zastał puste.

— Zawieźli ją do wojewódzkiego — powiedziała Marczakowa.

Tego dnia nic nie jadł. Co pół godziny biegł na pocztę. Wydzwaniał, palił papierosy. Gardło miał suche, spojrzenie nieprzytomne.

Wieczorem otrzymał wiadomość, że Maria urodziła córkę. Rzucił słuchawkę, wybiegł na ulicę. Chciał krzyczeć, biec do knajpy i stawiać wszystkim wódkę. Ochłonął nieco pod zimnym wieczornym niebem. Nie, nie pójdzie do knajpy! Co by powiedziała Maria? Ale co zrobić z tą radością? Musi... Ten jeden jedyny raz, jak każdy ojciec.

Wszedł na zaplecze knajpy, poprosił kelnerkę o pół litra. Ukrył butelkę pod płaszczem i wymknął się do domu.

Poczuł głód. Usmażył jajecznicę. Drżącymi rękoma odkorkował butelkę. Pijąc ze szklanki, szybko chwytał zapłon. Mówił do siebie:

— Słuchaj, Marcin, jesteś ojcem. Już nigdy więcej nie będziesz pił. Od dzisiaj koniec! Masz rodzinę i nie wolno ci żyć wyłącznie dla siebie.

Patrzył z żalem na pustą butelkę. Z kim teraz dzielić radość? Do kogo krzyknąć z dumą, że został ojcem? Było takie miejsce na ziemi i powinien tam iść. Pod wpływem alkoholu na pewno przełamałby barierę gniewnego osamotnienia. Matka by zapłakała...

Ogarnięty senną falą ciepła, rzucił się na wersalkę. Uświadomił sobie nagle, jak bardzo przywykł do Marii. Do nocy spędzanych u jej boku, do wszystkich dobrych dni, które dane mu było przeżyć. Bez Marii nie widział dla siebie żadnej szansy.

Zobaczył ją po siedmiu dniach. Miała bladą, w żółtych plamach twarz, jej ciemne oczy zogromniały.

W chwilę później pielęgniarka przyniosła małą. Niemowlę o sinej, pomarszczonej twarzyczce i niebieskich jak ultramaryna oczach. Patrzył ze zdumieniem na wydłużoną, jajowatą główkę, porośniętą rzadkimi, ciemnymi włosami.

— Proszę, niech pan ją weźmie, żona jest jeszcze słaba.

Ujął niezdarnie becik i zaniósł do czekającej pod bramą taksówki. Marczak parsknął śmiechem.

— Fuszerka! Pierwszy strzał diurawy!

— Z ciebie też nie najlepszy majster.

— Szkoda gadać! U mnie dwa dziurawce pod rząd!

— Ale kocha pan córki? — spytała Maria.

— Przecież moje, nie? Gdyby tak za sąsiedzką przysługą, to inna sprawa.

— Może będzie i syn — powiedziała Maria patrząc na śpiące w becie maleństwo.

— U mnie? Za Chiny! Trzeci raz to ja już nie będę próbował!

Przez kilka dni Marcin zastępował w domu osłabioną porodem żonę. Czuwał do północy, aby przygotować mleko w proszku i nakarmić małą. Kiedy płakała, brał ją na ręce i chodząc po pokoju kołysał do snu.

Pewnego dnia stanęła w drzwiach ich mieszkania matka. Nieśmiała i zakłopotana, kryjąc dłonie w rękawach zbyt obszernego futra, nie wiedziała, od czego zacząć.

— Proszę, niech mama się rozbierze — powiedział. — Maria też się ucieszy, że mama przyszła.

— To twoja wina — powiedziała. — Ty powinieneś przyjść pierwszy.

— Byłem, ale ojciec...

— Nie musiałeś odchodzić z domu i tłuc się po świecie. Przez to nawet synowej nie poznałam.

Z Marią dogadały się szybko, jakby znały się od dawna.

— Ciasno tu u was — powiedziała matka. — Chcielibyście pewnie do bloków, co?

— Gdybym miał pełny wkład, personalny by pomógł. Za dwa lata moglibyśmy zamieszkać w Pabianicach.

— Słuchaj, Marcinek! Nie zwracaj uwagi na szwagra. Przychodź śmiało! Pogadamy z ojcem i coś się zaradzi, żeby wam wyszło na lepsze.

Dlaczego odrywają mnie od tych wspomnień, myśli Marcin Liksza, czując na piersi jakiś ciężar.

— Marcin, uciekaj stąd! — szepcze tuląc się do niego Zelówa. Marcin czuje, że ręka dziewczyny wsuwa się do kieszeni jego spodni. Zelówa szybko zeskakuje z tapczana. Z lękiem w oczach idzie do przedpokoju. Marcin unosi głowę. Widzi stojącego w drzwiach Józka, który mrużąc oczy ogląda trzymaną w palcach żyletkę.

Marcin nie może oderwać wzroku od żyletki. Machinalnie wsuwa dłoń pod mankiet koszuli, dotyka palcami blizn na przegubie lewej ręki, Józek uśmiecha się bezczelnie. Marcin blednie. Przypomina sobie tamten dzień.

Przyszedł Guzenda, który dowiedział się, że Maria wyjechała. Chciał u Marcina zostać na noc. Mówił, że boi się, aby ktoś tu nie palnął jakiegoś głupstwa. Marcin uśmiechnął się, kręcąc przecząco głową. Powiedział dozorcy, że mógł to zrobić o wiele wcześniej, w chwilach napadającej go depresji, a jednak nigdy się na to nie zdobył. Kiedy drzwi zamknęły się za Guzendą, wszedł do łazienki i wyjął żyletkę. Stanął przed lustrem. Podniósł lewą rękę, przeciął żyletką skórę. Ukazała się cienka struzka krwi... Nie, tak nie... Trzeba w innym miejscu, po tętnicy... Przystawił ostrze pośrodku, na drgającym pulsie. Spiął się wewnętrznie, lecz palce trzymające żyletkę mimowolnie ześlizgiwały się na skraj przegubu. Ostrze przecięło skórę, znów ciemna nitka krwi. Pobiegł do kuchni, nalał wódki do szklanki i wypił duszkiem. Czekał...

(cdn)

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

MILIONERZY

Dalszy ciąg ze str. 1

— **Ciężko?**
— **Dosyć.**
— **Ale najważniejsze, że pani coś robi.**
— **Chyba tak...**
— **Trzeba mieć jakieś zajęcie.**
— **No, pewnie...**

JEŚLI ZOBACZYSZ TAKI PORZUCONY BAGAŻ — uczyła tablica — **NIE DOTYKAJ GO W CZASIE JAZDY, A NA PRZYSTANKU ZAWIADOM KOGOŚ Z OBSŁUGI. GDYBYŚ NIKOGO NIE ZNALAZŁ, POLEĆ WSZYSTKIM PASAŻEROM, ŻEBY NATYCHMIAST OPUŚCILI POJAZD.**

W ten dyskretny sposób Anglicy walczą z irlandzkimi bombami, wybuchającymi co jakiś czas w miejscach publicznych. Kto zginie to zginie: starzec, kobieta, dziecko. Ze wszystkich narodów świata Anglicy najbardziej nienawidzą Irlandczyków. Powiadają:

— **Jest to dzicz, gorsza niż afrykańscy Murzyni z dzidami; trzeba tam pojechać, żeby zobaczyć, jak biją w bębny, wymachują pałami i odgrzebują krzywdy sprzed czterystu lat.**

Jednakże autobus wytapetowany jest również pogodniejszymi treściami. Są tam reklamy kosmetyków, konserw, papierosów, ginu, whisky. Są zwiastuny **DRUGIEJ EMANUELI** i głośnego filmu z Redfordem **AL THE PRESIDENT'S MEN.** Wszystko to jest, a dziewczyna mówi:

— **Lidia popełniła samobójstwo.**
— **Co pani gada!**

— **Tak!**
— **Nie żyje?**
— **Żyje. Wzięli ją do szpitala.**
— **Na tle psychicznym?**
— **Aha. Ma bardzo dobrą opiekę i wyżywienie.**
— **Anglicy potrafią chodzić przy chorych.**
— **No, pewnie.**
— **Powiesiła się?**
— **Proszki. Żeby pan wiedział, jak przy niej chodzą! Przy niektórym Angliku tak nie chodzą...**
— **Oni są dobrzy dla chorych.**
— **Są bardzo dobrzy.**
— **Ale czemu się truła?**
— **Ja nie wiem! Przecież miała niezłą pracę, więcej ode mnie zarobiła.**
— **Pani ile ma?**
— **Do piętnastu nam obciął.**
— **Najważniejsze, że w ogóle pani coś robi. Trzeba coś robić. Zgadza się pani?**
— **Chyba tak...**

Nie ubarwiłem niczym tej rozmowy, co nie byłoby wcale trudne. Brzmiała właśnie tak, jak napisałem: bezbarwnie, sennie, cicho. Taka rozmowa może człowieka zniszczyć nawet w tak pięknym i bogatym mieście, jak Londyn i nawet wtedy, kiedy dziewczyna jest dobrze ubrana, a stary człowiek ma na serdecznym palcu złoty sygnet.

Kto to zresztą chwali się złotem! Anglicy są dyskretni, powściągliwi, skromni, cierpliwi i do przesady grzeczni. Obok Francuzów, tylko Anglicy potrafią zawsze i wszędzie wytworzyć wrażenie ciepła. Ci, którzy dobrze znają jednych i drugich, twierdzą, że to wszystko jest fałszem. Nawet jeżeli — miło człowiekowi z tym fałszem. Wolę grzeczny fałsz od szczerego chamstwa. **TAK — SŁUCHAM — DZIĘKUJĘ — PROSZĘ — UBOLEWAM — PRZYKRO MI — OCZYWIŚCIE — SŁUŻĘ.** Od sklepu do sklepu, od kawiarni do kawiarni, od centrum aż po dalekie przedmieścia maszerujesz po Londynie w rytmie tych słów. I... nie ma w tym ironii. Gdybyśmy nauczyli się tego od Anglików, bylibyśmy największym narodem świata. Ale trudno nam jakoś ta nauka przychodzi, i nie pomagają nawet korepetycje w Londynie. Na tarasie kawiarni w zamieszkałej przez Polonię dzielnicy Kensington kelnereczka zawraca w pół kroku, pokazując plecy damie, która uśmiecha się i kilkakrotnie powtarza:

— **Yes, please. Yes, please.**

Kelnereczka podchodzi do koleżanki i mówi głośno po polsku:

— **Znowu przyszła!**
— **Ta ropucha?**
— **Tak. Obsłuż ją, ja jej nie cierpię!**
— **A co ja mam się męczyć za ciebie** — odpowiada ta druga. — **Ja też jej nie lubię.**

Wchodzę do londyńskiej filii **„Orbisu"**, gdzie ma także swoje okienko **„Lot".** Słodko mi, że za chwilę porozmawiam z rodakami. Pytam o informację kolejową. Głowa urzędniczki drga niechętnie w bliżej nieokreślonym kierunku, a usta mówią:

— **Tam.**

Idę „tam", pokazuję bilet i próbuję wysondować, jakie są połączenia z Amsterdamem. Ta pani mówi stanowczo:

— **Nie wiem.**
— Jak to... pani nie wie?
— **Bo nie wiem. To jest „z trasy". Pan ma przecież bilet przez Rotterdam.**

Całkiem tak samo jak w łódzkim Juventurze. Byłem tam przed paroma tygodniami i kiedy po dwugodzinnym czekaniu stanąłem wreszcie przed kierownikiem, prosząc go, jak umiem najgrzeczniej, o audiencję, zachował się tak, jakby był papieżem nagabywanym przez pijanego fornala. Nie wiedział, w jakiej sprawie przyszedłem: służbowo czy prywatnie. Nie chciał ze mną rozmawiać: ani teraz, bo ma gościa, ani potem, bo nie ma czasu, i nie jest — tak się wyraził parskając śmiechem — od udzielania informacji. Panienki, które były z początku bardzo dla mnie łaskawe, podchwyciły ten „kierowniczy" ton i wyszedłem stamtąd jak zbity pies. Jeden z kolegów pouczył mnie, że to wszystko moja wina: powinienem najpierw zadzwonić, przedstawić się i on by na mnie czekał z kawą. Ale mnie się wydaje, że jak człowiek wchodzi anonimowo, z ulicy, też powinien być grzecznie przyjęty. Na tym przecież polega socjalizm.

— **Kopnąłeś się** — powiedział inny kolega. — **Obraziłeś go! Chciałeś mówić z kierownikiem, a on teraz ma pod sobą pięć województw i jest DYREKTOREM!**

I nie gadać mi tu, że jestem malkontentem! Że szkaluję rodaków! Że wyciągam brudy! Piszę w interesie narodu, który jest wielkim narodem. Obchodzi mnie, aby opinia, jaką teraz na Zachodzie mamy, nie cierpiała przez gburowate kelnerki i urzędniczki, przez emigrantów, którzy plują jadem, nie znając zresztą większego posłuchu, i przez pana Kisielewskiego, który eksportuje w słowie i w piśmie takie idiotyzmy, że się śmieje z tego nawet reakcja.

Faktem jest także, że spotkałem w Londynie wielu nadzwyczaj miłych Polaków: godnych, uprzejmych, życzliwych. Jeden bezinteresownie obwoził mnie po mieście samochodem, drugi pokazał mi przy London Bridge Muzeum Grozy. Byłem również gościem pewnego polsko-angielskiego małżeństwa: lekarze, jednorodzinny domek w Richmond, niespełna dwuletnie dziecko rozmawiające z ojcem po angielsku a z matką po polsku. Wzruszająca sprawa, kiedy taki szkrab w ciągu sekundy potrafi przestawić się z języka na język — odruchowo, genetycznie, nie marszcząc przy tym czoła z wysiłku. Kim będzie? Anglikiem czy Polakiem? Ojciec milczy. Matka mówi:

— **Wszystko jedno, byle wyrósł na porządnego człowieka.**

Może i tak... Jeśli świat pozostanie w pokoju, a szkrab zdrowo doczeka pełnoletności. Po cichu jednak dopinguję w nim tę polską połowę. Jestem zazdrosny, kiedy zbyt długo mówi z tatą po angielsku, a matka nie interweniuje.

Oboje pracują w szpitalach państwowych. On w randze naszego ordynatora, a dopiero po trzydziestce... Wybitnie zdolny. Mógłby oczywiście otworzyć prywatną praktykę, ale nie chce: ma tak zwane ambicje, które wiążą się przede wszystkim z pracą naukową w klinice. Narzeka trochę na podatki. Im więcej zarobisz, tym więcej ci tną. Niewłaściwa polityka: ludzie nie mają bodźców, nie opłaci im się zbytnio wysilać. Z kolei — jak ktoś ma ambicje, wysila się tak czy owak, dla idei. I gorycz zostaje. Lekarz — to jest tutaj zawód ważny. Jak już nim jesteś, nie wolno ci mieszkać poniżej pewnego standardu — w byle jakim domu, w byle jakiej dzielnicy. Patrzą także na twój samochód, ubranie, znajomych, na szkołę, do jakiej posyłasz dzieci, na sklepy, w których dokonujesz zakupów, i kraje do których jeździsz na urlop. Nawet jeśli chciałbyś skromnie — nie wypada. No... ale spróbuj tylko trochę przesadzić w drugą stronę! Za dużo złota, za frywolny strój, za wystawny samochód — też niedobrze. Trzeba utrzymać się w pewnej określonej tonacji. Z pańska, ale nie kłuć w oczy. Jeśli kupujesz żonie futro z norek, to ona musi nauczyć się nosić je tak, jakby to był zwykły płaszcz z gabardyny. Co się tyczy Polski — jest w porządku! Był, widział, będzie, zobaczy. Churchill nie oddał pełnej sprawiedliwości polskim lotnikom, ale Londyn pamięta! Czy znam film „Bitwa o Anglię"? Oczywiście! Więc możemy porozmawiać o futbolu!...

Wychodziłem rano, a wracałem późnym wieczorem. Każdego dnia po czternaście — piętnaście godzin na dobę snułem się londyńskimi ulicami z nadzieją, że trafię w końcu na jakiś dramat — włamanie, rabunek, wybuch bomby, napad na bank, demonstrację, ulicę biedy, nędzy i bezprawia. Londyn nie chciał się jednak przede mną otworzyć. Nie będę przecież przepisywał z kroniki wypadków. Czego nie widziałem — nie wymyślę. Stolica Anglii tkwi w mieszczańskich rygorach i jest spokojnym miastem. Nawet w osławionym Soho panuje względny spokój i porządek. Ludzie pracują, a wieczorem wracają do domu i podlewają swoje ogródki. I tak z dnia na dzień, z roku na rok, od urlopu do urlopu. Ożywiają się nieraz przed jakimś doniosłym meczem, co potwierdza tezę, że sport jest morfiną narodów i że ze wszystkich rzeczy nieważnych najważniejsza jest piłka nożna.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

KSIĄŻKA

MIĘDZY KRYTYKĄ A HISTORIĄ LITERATURY

Tytuł kolejnego zbioru szkiców poznańskiego krytyka Feliksa Fornalczyka sugerować może zafascynowanie pokoleniowym kryterium. W rzeczywistości jednak do generacyjnego rytmu odświeżania literatury nie przywiązuje autor zbyt wielkiego znaczenia i poszukuje „bardziej trwałych uwarunkowań oddziałujących ożywczo na literaturę". Upodobał sobie od dawna ujęcia socjologizujące, mocno osadzające twórczość literacką w kontekście całokształtu zjawisk życia społecznego. W konsekwencji takiego stanowiska dorobek wybranych przez siebie twórców traktuje jako ilustrację przemian świadomościowych spowodowanych rozwojem konkretnej sytuacji historycznej. Kusić to może do zbyt łatwych uogólnień. Nie Fornalczyka jednak, pierwszą bowiem cechą jego warsztatu jest rzeczowość. Niemalże kurczowo trzyma się fabuły, realiów i pisarskiej biografii. Utrudnia to czasem lekturę, owa dokładność czyni ją nużącą, ale opłacalną, bo gwarantuje po prostu nieczęsto dziś spotykaną rzetelność końcowych wniosków.

Czwartą w ciągu ostatnich lat książką („Przypisani tej ziemi" — 1968, „Z rodu poetów" — 1969, „Znani i nieznani" — 1974) dowodzi Fornalczyk stałej obecności w gronie krytyków najaktywniejszych. Krytyka literacka w jego wykonaniu jest nade wszystko wiernym opisem istniejącego stanu rzeczy, wyjaśnianiem niektórych tendencji, wiązaniem faktów i zjawisk w uporządkowaną całość. Z rzadka formułuje postulaty czy sugestie, w wyjątkowych jeno wypadkach spokojny i zrównoważony ton relacji zabarwia emocją.

Przedmiotem oceny stała się tym razem twórczość Edwarda Balcerzana, Teodora Goździkiewicza, Tadeusza Konwickiego, Urszuli Kozioł, Józefa Ozgi-Michalskiego, Mariana Pilota, Józefa Ratajczaka, Andrzeja Twerdochliba oraz dwóch przedstawicieli środowiska łódzkiego — Wiesława Jażdżyńskiego i Jerzego Wawrzaka. Dobór ten nie jest zupełnie przypadkowy, ale też jego kryterium jest bardzo szerokie: krytykowi chodzi po prostu o sprawdzenie, jak we współczesnej literaturze funkcjonują uwarunkowania genetyczne.

Uwarunkowania te stanowią bowiem dla Fornalczyka dogodny klucz interpretacyjny i sprawdzają się właściwie na pisarstwie całej dziesiątki. Wybrani przezeń twórcy, budując literacką fikcję, korzystają w sposób szczególnie wyrazisty z własnych biografii. U Konwickiego polega to na przykład na dokumentnym wymieszaniu teraźniejszości z wileńską przeszłością, a wszystko jest podlane sosem groteski. (Notabene: mam pewne wątpliwości, czy pisarz ten rzeczywiście aż tak serio traktuje literaturę, jak to wynika ze szkicu „Piekło raju". Myślę o tym nie tylko w kontekście ostatniej jego książki „Kalendarz i klepsydra"). W twórczości Jażdżyńskiego („Okolica starszego kolegi", „Świętokrzyski polonez") czy Ozgi-Michalskiego („Oberek świętokrzyski", „Sowizdrzał świętokrzyski") rzecz sprowadza się zasadniczo do fascynacji ową najściślejszą ojczyzną w ojczyźnie, jaką była i pozostała dla nich Kielecczyzna. Inaczej znów u Wawrzaka. Jego bohaterami są ludzie reprezentujący środowisko robotnicze bądź inteligencję w pierwszym pokoleniu. Uwikłani bezpośrednio w sprawy produkcji, organizacji pracy, problemy działalności partyjnej, w przywileje i mielizny władzy, włączają się aktywnie w grę o jutro. Rodzi to określone konflikty. napotyka na przeszkody, które trzeba pokonać bądź ominąć. Właśnie bagaż zawodowych i pisarskich doświadczeń Wawrzaka pozwala mu dokładniej ukazać źródła konfliktów, poddać je moralnej i politycznej ocenie, zaproponować rozwiązania.

„Młodsi, starsi" to luźny zbiór poszczególnych sylwetek pisarskich, ułożonych w alfabetycznej kolejności. Można go powiększyć o dowolną ilość współczesnych ludzi pióra, dla których dorobku genetyczne uwarunkowania są bardzo istotne. Jest to wszakże zbiór pożyteczny. Jako wierny zapis aktualnego stanu części literatury polskiej. I chociaż — wskutek metody — stanowi raczej na żywo notowaną historię literatury niźli aktywizujący czynnik bezpośrednio ingerujący w przejawy świadomości literackiej, jest wydarzeniem krytycznym godnym uwagi.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

F. Fornalczyk, Młodsi, starsi, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1976, nakład 3000 + 290 egz., cena zł 40,—

TELEWIZJA

FILMY SĄ DOBRE NA WSZYSTKO

W Telewizji Polskiej rozbiła się bania z filmami. Oczywiście, także przedtem filmy stanowiły bardzo ważny składnik telewizyjnego menu, ale ostatnio jest ich więcej i to bardzo różnych. Wprowadzono zatem stałą pozycję pn. „Kino Letnie", gdzie prezentuje się filmy od dramatów psychologicznych w rodzaju radzieckiego „Koronnego świadka" po rozrywkową galanterię (czy pasmanterię, bo zapewne realizowaną „taśmowo") produkcji włoskiej.

Te ostatnie pozycje dały satyrykowi „Szpilek" asumpt do znamiennego dowcipu rysunkowego. Oto na śmietnisku, gdzieś za drapaczami chmur, dwu clochardów grzebie w rupieciach. „Co robisz?" — pyta jeden. „Wybieram filmy do telewizji" — odpowiada drugi.

To prawda, że ta włoska pasmanteria filmowa jest stara i mało ambitna. Prawdą jest jednak i to, że te banalne historyjki dadzą się jednak oglądać w charakterze deseru na koniec telewizyjnego posiłku.

Weszły także do programu dwa sensacyjne seriale: „Podróże detektywa" oraz wrócił Roger Moore, słynny „Swięty". Myliłby się jednak ktoś sądząc, że redakcja filmowa serwuje nam wyłącznie rozrywkę. Pokazano przecież telewidzom znakomitą „Sybiraczkę" — dramat społeczno-psychologiczny, nawiązujący do nurtu publicystycznego w radzieckim kinie. Kameralny dramat charakterów i postaw ludzkich został w tym filmie rozbudowany do rozmiarów wielkiego epickiego dramatu.

Szkoda, że na skutek transmisji meczu Polska — Brazylia w programie pierwszym umknął większości telewidzów zupełnie dobry film TV pt. „Ostatni po Bogu", w którym oszczędną lecz pełną dramatycznego napięcia kreację stworzył zmarły niedawno Tadeusz Szmidt.

Przejdźmy jednak do innych filmów. Coraz większą popularność zdobywają obrazy ze wznowionego ostatnio rozrywkowego cyklu „Róże Montreux". Może właśnie dlatego, że produkowane przez telewizje różnych krajów dają to, co w programie najważniejsze — różnorodność. Filmy z cyklu „Róże Montreux" prezentują różne typy humoru i rozrywki — od prostej rewietki po bardzo wysublimowany humor w rodzaju „Bazaru satyry", w którym przedmiotem żartu są m.in. dzieła światowego malarstwa, dramat szekspirowski, inwazja wielkich słów i hałas współczesnej techniki.

Czyli dla każdego coś miłego. W tym miejscu pozwolę sobie nie zgodzić się z moim przyjacielem, Marcinem Rodakiem, który w ubiegłym tygodniu odsądził od czci i wiary program rozrywkowy R. Czubaczyńskiego i W. Gawrońskiego: „Gdy wiosna zawróci nam w głowie". Rodak pisze, że już nic gorszego nie sposób wymyśleć, że to była rewia złych pomysłów.

Tak się składa, że ów koncert był — moim zdaniem — jednym z lepszych programów z cyklu „Dobry wieczór, tu Łódź" i oglądałem go z przyjemnością. A więc? Kto ma rację? Rodak, który twierdzi, że to było dno, czy ja — którego zdaniem była to zupełnie przyzwoita rewia. A może jeszcze ktoś trzeci?

Otóż, wszyscy mamy rację. Percepcja programu artystycznego zależy bowiem w poważnym stopniu i od skali porównawczej widza i od jego nastroju. Ktoś, kto ma akurat ochotę na relaks, chętniej obejrzy włoską bzdurę komediową niż ambitną „Sybiraczkę", ale to nie znaczy, że „Sybiraczka" jest gorsza. Ktoś nastrojony bardziej serio zirytuje się muzyczną rewią, co wcale nie znaczy, że rewia jest do niczego.

A filmy rzeczywiście są dobre na wszystko.

TELEMAN

NIE MA JUŻ WOZU TESPISA

z Janem Perzem dyrektorem Państwowego Teatru Ziemi Łódzkiej rozmawia Konrad Frejdlich

Dyr. Jan Perz

KONRAD FREJDLICH: Panie Dyrektorze, Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej obchodzi dwudziestopięciolecie istnienia. Ćwierćwiecze w dziejach sztuki to okres stosunkowo krótki, jak na działalność sceny objazdowej sporo, bo to już wiek dojrzały. Gratulując więc pięknego jubileuszu pragnę jednocześnie zapytać jak Pan dyrektor widzi specyfikę swojej placówki jako teatru wędrującego, objazdowego?

JAN PERZ: Specyfika działalności naszego teatru polega chyba przede wszystkim na autentyzmie przeżyć. Przecież aktorzy sceny objazdowej co dzień muszą przystosowywać się do nowych, nieoczekiwanych często warunków. Można więc powiedzieć, że co dzień przeżywają emocje premiery i zdobywają w ten sposób umiejętności, które rzadko są udziałem aktorów z teatrów stacjonarnych. Już nie będę wspominał, że często przychodzi nam występować w sali nie przygotowanej, gdzie szczęka się z zimna zębami, nie ma garderoby ani najmniejszego zaplecza, bo są to oczywistości. Raz gramy na dużej scenie, innym razem na maleńkiej. Ale ma to swoje zalety. Nie grozi nam przynajmniej popadnięcie w szablon. Oczywiście nie ma mowy o jakiejś przypadkowości, każda inscenizacja poprzedzona jest konsekwentną analizą dramatu, ale jednym razem trzeba go rozegrać w warunkach „kameralnych", jeden cudzysłów tu nie wystarczy, a następnego dnia tę samą intymność trzeba w sobie odnaleźć w zupełnie odmiennych warunkach i tutaj właśnie znalezienie tej odległości psychicznej daje autentyczność przeżycia i autentyczność tremy. Nasza praca nie jest więc spokojna. Oczywiście my dzisiaj pracujemy inaczej, podobnie jak wszyscy w kraju, niż na początku, gdy premiera goniła premierę...

KF: A więc nie jest to już, używając popularnego porównania, wóz Tespisa?

JP: To nie jest wóz Tespisa, bo my jeździmy autokarami. I oczywiście w jakimś sensie przedstawienie jest przygotowane, ale czasem jest tak „doskonale" przygotowane, że trzeba szukać człowieka, który ma klucz od budynku domu kultury czy remizy strażackiej. A nasz zespół techniczny denerwuje się, bo są to ludzie odpowiedzialni, chcą bardzo dokładnie przygotować scenę dla aktorów, a tu taki drobiazg, nie można się dostać do sali. A niech jeszcze pada akurat deszcz, to co wtedy?

KF: Są to więc warunki pracy bardzo niełatwe. Jak to się więc dzieje, że są w Waszym zespole ludzie, którzy w teatrze wytrwali, są mu od początku wierni?

JP: Może dzięki temu, że teatr objazdowy ma swoją publiczność, która czeka na jego przyjazd. To bardzo przywiązuje aktora do sceny, czuje się potrzebny. Bo publiczność, jak wiemy, może być bardzo różna. Także zblazowana i znudzona, dla której teatr nie jest przeżyciem. Po prostu tak bardzo zblazowana, że przechodzi obojętnie obok teatru, jak to się dzieje niekiedy w większych ośrodkach wiejskich. Ale może być także inaczej. Zapowiedź spektaklu może być prawdziwym sygnałem wywoławczym, jak to się dzieje często w tych miejscowościach, gdzie zjawia się autobus z napisem Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej.

KF: A więc coś, co by można nazwać głodem teatru. Powiedział ktoś, że prawdziwą Polkę można jeszcze spotkać tylko w barze mlecznym. Zastanawiam się, czy prawdziwego widza teatralnego nie spotyka się właśnie w tzw. terenie?

JP: Ja bym tu zrobił korektę do tego pytania. Według mnie z autentycznym głodem teatru spotykaliśmy się w pierwszych latach po wojnie. To było coś więcej: głód polskiego języka, przedstawienia w języku polskim. Dzisiejsza nasza publiczność oczywiście także ujawnia te pragnienia, także kocha teatr, ale jest publicznością bardzo wymagającą. Teatr wędrowny, pędzący na czterech kółkach wozu, który już nie jest wozem Tespisa, winien w przekonaniu tej publiczności zaspokajać jej rosnące wymagania. Dzisiejszy głód teatru jest więc głodem specyficznym. Dlatego też staramy się zawsze traktować naszą publiczność jak równoprawnego partnera w dialogu o dzisiejszym świecie, o sprawach które łączą wszystkich ludzi, albo dla odmiany denerwują czy bawią.

KF: W moim odczuciu teatr powinien spełniać podwójną funkcję: stwarzać iluzję rzeczywistości, być widowiskiem, a przy tym stawiać zasadnicze pytania o świecie, spełniać rolę dydaktyczną i wychowawczą.

JP: Mnie się wydaje, że dydaktyka jest w ogóle istotną cechą teatru, niezależnie od tego czy jest to scena stacjonarna czy wędrowna. Trzeba przecież zawsze spełniać tę samą funkcję wobec wyobraźni widza i jego tęsknot, trzeba uczyć historycznego myślenia. I to jest na pewno nieobce wszystkim teatrom. Tylko że ja dodałbym coś jeszcze, co dotyczy przede wszystkim naszej sceny. Może poprzez to, że gramy w miejscowościach małych, a nawet najmniejszych, jesteśmy pierwszą linią frontu kulturalnego. To jest chyba prawda, która określa naszą działalność.

KF: Mówił Pan tutaj sporo o specyfice sceny objazdowej. Dodałbym od siebie, że Wasz zespół reprezentuje wysoki poziom, a Wasz teatr, zwłaszcza w ostatnich latach, realizuje bardzo ciekawą linię repertuarową sięgając po pozycje grane do tej pory bardzo rzadko, albo nawet nieznane. O ile się orientuję macie w rzeczywistości dwa zespoły, które niemal nieustannie znajdują się w terenie. Spontaniczność jest na pewno zaletą, ale czy po ćwierćwieczu działania zespół Wasz nie zasłużył sobie także na scenę stacjonarną, na której można wystawiać sztuki wysokoobsadowe?

JP: Poruszył Pan tutaj chyba dość istotną sprawę. Mamy rzeczywiście dwa zespoły, pracujące niemal bez wytchnienia w terenie, w trudnych warunkach. To satysfakcjonuje, ale i męczy na dłuższą metę. Wydaje mi się jednak, że zdążamy w tym kierunku, aby Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej, przy ewentualnej zmianie nazwy, stał się kameralną sceną stacjonarną naszego miasta. Nie znaczy to, że chcemy zupełnie zrezygnować z wojaży, zbyt jesteśmy przywiązani do naszej „starej" publiczności i ona chyba do nas. Ale zdajemy sobie równocześnie sprawę, bo jest to tendencja widoczna w życiu całego kraju, że wszystkie sceny polskie przejmą obligi bywania, wizytowania, występowania w tzw terenie. Tego wymaga nowa jakościowa sytuacja kultury, takie są społeczne potrzeby. I w tym stanie rzeczy nasz teatr, który będzie w przyszłości dysponował jeszcze jedną salą na 300 miejsc przy ulicy Kopernika 8, oraz salą kameralną na 80 miejsc przy ulicy Gdańskiej 110, w jakimś sensie zostanie częściowo zwolniony z obowiązku nieustannych wędrówek i wyjazdów. Powtarzam, że tylko częściowo, bo ze wszystkich wyjazdów nie zamierzamy rezygnować. Zwłaszcza że mamy ostatnio nowe doświadczenia. Myślę tu o bardzo owocnej współpracy z zakładami przemysłowymi na terenie Łodzi, które zlokalizowane są na obrzeżach miasta. I wskażę przykład „Teofilowa", gdzie ta nowa akcja rozwija się najlepiej. Będziemy więc występowali na Teofilowie w dalszym ciągu z tym, że naszymi widzami będą także mieszkańcy osiedla, nie tylko pracownicy zakładów, bo dzielnica jest duża. Sądzę nawet, że będziemy tam grali częściej niż do tej pory.

KF: A więc jest to kwestia przestrajania teatru, przystosowania go do potrzeb widza wprawdzie wielkomiejskiego, który jednak ma kontakt z teatrem dość rzadki?

JP: Widz w dużych miastach tak przyzwyczaił się do obecności teatrów w mieście, że niekiedy je omija. Trzeba go odzyskać.

KF: Widz wielkomiejski ma chyba przesadne poczucie bezpieczeństwa. Po co iść na spektakl dziś, skoro można to uczynić jutro. Aż wreszcie sztuka schodzi z afisza.

JP: To tylko cząstka prawdy, która nie wyjaśnia wszystkiego. Widz oczekuje od teatru estetycznej przygody. A więc teatr, czy to objazdowy czy też teatr, który chce być autentycznym, powinien szukać form, które będą dla widza niespodzianką, zaskoczeniem. Często mogą być to działania typu repertuarowego, prezentowania sztuk, które nie pozostawią widza obojętnym, letnim. Ja osobiście jako reżyser wolę tego rodzaju reakcję widza, żeby trzasnął drzwiami z oburzenia i wyszedł, niż kiedy nic go nie obchodzi i wszystko przyjmuje biernie.

KF: Mówimy tu sporo o widzach teatralnych. W jaki sposób zdobywacie rozeznanie o swojej widowni?

JP: Poprzez bezpośredni kontakt, grę dla ludzi. I wierzę, że nasi widzowie przychodzą do teatru chętnie. Nasze społeczeństwo staje się społeczeństwem wykształconym i to nie tylko zawodowo, profesjonalnie. Już nie tylko szkoła, ale i zakład pracy wyrabiają wrażliwość widza na sztuki plastyczne, literaturę, film, teatr. To w perspektywie przyniesie jeszcze lepsze rezultaty, wierzę, że jest to najwłaściwsza droga zdobywania nowego widza.

KF: W różnych środowiskach?

JP: Usiłujemy zaspokoić rozmaitego typu zainteresowania bądź co bądź zróżnicowanej widowni. I najwyraźniej widać to po naszej linii repertuarowej.

KF: A jaki wpływ na Waszą pracę ma niedawna reforma administracyjna?

JP: Dzięki naprawdę życzliwemu podejściu władz w Łodzi teatr znalazł się w lepszej sytuacji. Ja nie chcę źle mówić o przeszłości, ale nigdy nie było takiego zainteresowania naszymi kłopotami jak na przestrzeni minionego roku, odkąd naszym mecenasem stał się Wydział Kultury i Sztuki Urzędu m. Łodzi. Taka korzystna atmosfera i zrozumienie stworzyły dla teatru nową jakościowo sytuację. Choćby sprawa poprawy warunków lokalowych. A perspektywa jest jeszcze bardziej obiecująca.

KF: A co zmieni się w Waszym teatrze w najbliższym czasie?

JP: Przede wszystkim skończą się nasze kłopoty z obsadą ról kobiecych, bo jak się Pan orientuje kobiety niechętnie pracowały w ciężkich warunkach terenowych. Od najbliższego sezonu pozyskaliśmy dla naszej sceny p. Alinę Kulikównę. Przychodzi do nas także aktorka teatru częstochowskiego Janina Gregorczyk oraz tegoroczna absolwentka PWSTTviF w Łodzi Anna Grzeszczak. W zespole naszym podejmuje także pracę Andrzej Jędrzejewski. W miarę stabilizacji kłopoty obsadowe będą coraz mniejsze.

Mogę także powiedzieć, że toczymy rozmowy ze szkołą teatralną na temat współpracy w tzw. warsztatach teatralnych studentów IV roku. Ten kontakt z młodzieżą aktorską także powinien przynieść dobre rezultaty.

KF: **Dziękując za interesującą rozmowę pragnę złożyć na ręce Pana Dyrektora życzenia pomyślności dla całego teatru w najbliższycm, kolejnym ćwierćwieczu działalności artystycznej.**

Trzeba lubić sny

Widz śledzący uważnie poczynania Państwowego Teatru Ziemi Łódzkiej w ostatnim sezonie, musiał zwrócić uwagę na poszukiwania repertuarowe tej wciąż jeszcze niedostatecznie docenianej sceny. Stało się już niemal zasadą, że kierownictwo teatru sięga po sztuki mało znane i zapomniane, albo nawet zupełnie nie znane. Tak było z przypomnianym na polskiej scenie po przeszło stu latach „Niewolnikiem" Czerwińskiego. To samo można powiedzieć o wystawionej obecnie „Tragedii Eumenesa" Tadeusza Rittnera, której realizator, zgodnie z tradycją inscenizacyjną tej komedii, nadał nowy tytuł, bliski zresztą pierwowzorowi.

Czym więc jest „Prawdziwa miłość Eumenesa"? Odpowiadając na to pytanie słowami Tadeusza Rittnera, który starał się określić założenia ideowe swojej sztuki w didaskaliach do niej, można by powiedzieć:

„Rzecz dzieje się w trochę fantastycznej (a może nieprawdopodobnej) Grecji starożytnej — a raczej Syrakuzach (Sycylia), zamieszkałych przez Greków, ale rządzonych przez Rzymian, rządzonych surowo, autokratycznie, brutalnie. „Tyran", o którym mowa nigdy nie istniał. Wymyśloną, czysto fikcyjną postacią jest także poeta Eumenes, tragikomiczny bohater tej komedii, w której nie ma w ogóle żadnej autentycznej „postaci historycznej". Ale tu nie chodzi o historię, jak się domyśli widz w teatrze. Komedia ta nie ma też żadnej „tendencji", nie jest ani za demokracją, ani za żadnym innym ideałem politycznym. Więc o cóż chodzi? Jak zwykle w sztuce — o dusze ludzkie, o muzykę życia. W tym wypadku specjalnie: o muzykę pogodną, lekką, zawierającą tylko to minimum łez, bez którego śmiech nie byłby tematem artystycznym."

Zacytowałem to tak obszernie, gdyż jak mi się wydaje, w kierunku tych założeń ideowych autora, zmierza inscenizacja Jana Perza na scenie Teatru Ziemi Łódzkiej. Ale, sprawa zastanawiająca, rzecz, która dzieje się nigdzie, dzieje się zarazem wszędzie, dzięki więc takim baśniowym założeniom sztuka Rittnera nabiera cech uniwersalnych, mówi o wszelkiej przemocy, jako takiej, i ukazuje jej mechanizmy. Tyran (Włodzimierz Tympalski) jest tutaj tylko marionetką w rękach sił, które powołując się na wyższe racje, firmują jego imieniem brutalny terror. Ale nawet Kykilos (Tadeusz Teodorczyk), bezpośredni organizator przemocy, działa nie z potrzeby wewnętrznej tradycji, tylko w imię zasad zapożyczonych gdzieś z antydemokratycznej tradycji i całkowicie nieprzydatnych w warunkach społecznych, o których opowiada sztuka. Najprawdziwsi w okrucieństwie są więc chyba tylko członkowie załogi piackiego statku, na który przypadkowo trafia Eumenes (Zbigniew Bielski), chociaż i oni mają swoje prawdziwie ludzkie słabości. Umiejętnie podkreślił to realizator, który w innym akcie powierza piratom role przedstawicieli stronnictwa „patriotycznego", są oni bowiem z tamtymi identyczni w swej groteskowości. Trzeba stwierdzić, że zarówno Janusz Dziubiński jako Kapitan okrętu piratów jak też stanowiący jego załogę: Tadeusz Trygubowicz, Kazimierz Jaworski i Marian Harasymowicz sprawdzili się w tej podwójnej roli.

Wróćmy jednak do głównego sprawcy całego zamieszania, do Eumenesa, który jako poeta ma być uosobieniem wolności, wolności tworzenia przynajmniej, bo wolność polityczna jest w sztuce Rittnera potraktowana ahistorycznie i przez to widzenie ogromnie pogmatwana. Od samego początku zdajemy sobie sprawę, że tragedia nad którą pracuje Eumenes nigdy nie zostanie napisana. Nie tylko dlatego, że przed poetą piętrzą się przeszkody: to zostaje wciągnięty do spisku i ma zgładzić Tyrana, to znów dostaje się w ręce piratów, to wreszcie ścigany jest przez nie znającą umiaru miłość Titelii (Barbara Dzido-Lelińska). Przede wszystkim dlatego, że taka właśnie jest konwencja sztuki Rittnerowskiej, w której dzieje się wszystko i nic, rzeczywistość przeplata się z marzeniem sennym, miłość z polityką, okrucieństwo z groteską. Ten nierealny klimat sztuki dobrze oddaje pomysłowa scenografia Jerzego Grzegorzewskiego. Czy oznacza to jednak, że to materii pomieszanie uwalnia widza od refleksji i zadumy nad sprawami tego świata. Nawet dzieci wiedzą, że w każdej baśni jest ziarnko prawdy, a w tym konkretnym wypadku jest to ziarnko piekące, ostre.

Przede wszystkim jednak jest wspaniała zabawa, bo Perz przygotował swój spektakl bardzo starannie. Jest także niespodzianka w postaci epilogu nie granego dotąd w żadnym teatrze. Najlepiej wyjaśnią tę sprawę słowa tłumacza, znanego teatrologa prof. dra Stanisława Kaszyńskiego:

„Idąc w roku 1963 wiedeńskim tropem Tadeusza Rittnera, odnalazłem w starych programach Burgteatru z roku 1920 nie znany zupełnie, ani badaczom, ani też polskim teatrom — tekst epilogu do „Tragedii Eumenesa", napisany po niemiecku wkrótce po ukończeniu sztuki i jak można przypuszczać, nieprzewidziany w pierwotnym planie pisarza".

Nie jest to wyjaśnienie pełne. Brak zainteresowania teatrów niemieckich „Epilogiem do tragedii Eumenesa" wynikał także z faktu, że wtopienie go z inscenizację tej sztuki jest dla reżysera zadaniem wyjątkowo trudnym. Trzeba stwierdzić, że Jan Perz zdecydował się na to ryzyko i chyba ani on, ani widz tego nie żałują. Oto wszystkie postaci sceniczne spotykają się na wieczorku literackim Eumenesa w domu jego żony, jednak w końcu żony, Titelii. Spotykamy tam nawet pierwszą kochankę poety, Walerię. (Maria Niedźwiedzka) zaślubioną przez Tyrana. Znów mówi się o tragedii. Eumenes, po słowach Titelii, stwierdza z żalem: „Kobieta ukochana, łączy nas z ludźmi (nieśmiało). A kiedy... ja... będę pisać?"

Cóż, trzeba lubić sny.

KONRAD FREJDLICH

Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej. Tadeusz Rittner: „Prawdziwa miłość Eumenesa" („Tragedia Eumenesa"), komedia w 4 aktach z epilogiem, przekład epilogu: Stanisław Kaszyński. Reżyseria: Jan Perz, scenografia: Jerzy Grzegorzewski, opracowanie muzyczne na motywach Maxa Regera.

Bolesław Czerwiński „NIEWOLNIK". Scena zbiorowa.

U PRZYJACIÓŁ

* * *

Z każdym rokiem wzrasta na świecie zainteresowanie życiem Kraju Rad, jego osiągnięciami gospodarczymi i naukowymi, kulturą i literaturą. W związku z tym stale wzrasta popyt na radziecką książkę. Edycją literatury radzieckiej w językach obcych zajmuje się wydawnictwo „Progress", publikujące rocznie ok. 1000 tytułów książek o łącznym nakładzie 20 mln egz., przeznaczonych dla odbiorców zagranicznych w 100 krajach. Z roku na rok wzrasta liczba języków, w których ukazują się poszczególne pozycje wydawnicze. Np. w r. 1972 było ich 23, zaś w 1975 roku już 38. W roku bieżącym przewiduje się wydanie różnych publikacji w 42 językach europejskich, a także chińskim, japońskim, wietnamskim, arabskim, hinduskim, urdu, bengali, suahili i innych. Zakres tematyczny jest bardzo szeroki: od dzieł klasyków marksizmu, poprzez literaturę społeczno-polityczną, naukowo-techniczną, aż do klasyków rosyjskiej literatury pięknej i współczesną powieść i poezję radziecką.

Niezależnie od pełnych edycji książkowych „Progress" kontynuuje wydawanie różnego rodzaju antologii prozy i poezji. Szczególną wagę przywiązuje się do zapoznawania czytelników na świecie z dorobkiem twórców wszystkich republik radzieckich.

Obecnie, w sytuacji rozładowania napięcia międzynarodowego, daje się zauważyć dążenie do wzrostu wzajemnej wymiany wartości kulturalnych między poszczególnymi krajami. W tej współpracy książka odgrywa szczególnie ważną rolę. Jednocześnie podkreślić trzeba, że wzrost wymiany kulturalnej nie wyklucza ostrej walki ideologicznej, a stąd zadania takich wydawnictw jak „Progress" realizowane są na najwyższym poziomie merytorycznym i poczuciem odpowiedzialności.

* * *

Dramaturg Wiktor Rozow cieszy się ogromną popularnością w Związku Radzieckim, jak również uznaniem widzów zagranicznych. Jeden z najbardziej znanych w świecie filmów radzieckich „Lecą żurawie" był adaptacją dramatu scenicznego Rozowa „Nieśmiertelni". Niedawno głośny dramaturg udzielił wywiadu korespondentowi APN, w którym powiedział m.in. o swojej twórczości:

„Piszę zawsze o tym, co mnie interesuje. Np. „Nieśmiertelnych" napisałem w 1942 roku. Wróciłem wtedy ranny do swej rodzinnej Kostromy... Na wojnie zdumiewała mnie nie tylko odwaga, ale i godność ludzka w obliczu niebezpieczeństwa. A także — w przeciwieństwie tego — występowanie cech negatywnych. Wojna bowiem rodziła bohaterów i nikczemników... Wielu zginęło, a przed tymi, co się uratowali, stanął problem: „Jak teraz żyć?" I właśnie ten problem znalazł odbicie w sztuce.

Najbardziej nurtują mnie problemy moralne. Uważam je za swoją „specjalność". Np. w sztuce „W szczęśliwej godzinie", wbrew fabule, nie najważniejszy jest wybór drogi życiowej, lecz znalezienie przez bohaterów utworu swego miejsca w przyszłym środowisku, w społeczeństwie."

Na pytanie: czy postawił sobie za cel pisanie sztuk „okolicznościowych", W. Rozow odpowiada:

„Sądzę, że tego rodzaju sztuki — to po prostu plakat. Są plakaty lepsze i gorsze, ale to już zupełnie inny gatunek. Nie uprawiam go, chociaż doceniam jego znaczenie".

W zakończeniu wywiadu, na pytanie: w jakim stopniu w utworze dramatycznym występuje odbicie osobowości autora, jego poglądów? — autor „Nieśmiertelnych" stwierdza:

„Dramaturgia, podobnie jak każdy inny gatunek literacki — to sprawa samookreślenia się autora. I zdaje mi się, że właśnie w sztuce teatralnej można znacznie pełniej wyrazić siebie, niż w poezji lirycznej. Osobowość autora charakteryzuje wybór przedstawionych przez niego zjawisk, pogląd na nie. Nie wszystkich może interesować wszystko. Czym innym zajmował się Czechow, czym innym Tołstoj lub Dostojewski. Wszyscy oni byli wielkimi twórcami, lecz każdy z nich poświęcał swą uwagę zupełnie różnym problemom. To, co interesuje mnie, niewątpliwie wynika z moich własnych doświadczeń i przemyśleń. A każda sztuka — to tworzenie nowej rzeczywistości."

Wypadek czy zabójstwo?

ŚLADY PROWADZĄ DO „CZARNYCH PUŁKOWNIKÓW"

1 maja 1976 roku zginął w wypadku samochodowym znany działacz greckiej opozycji, Aleksandros Panagulis. Wiele przemawia za tym, że nie chodzi tu o przypadkową katastrofę, lecz o zabójstwo na tle politycznym, za którego kulisami stoją siły greckiej prawicy.

Olbrzymi, blisko półmilionowy tłum ludzi towarzyszył w ostatniej drodze 38-letniemu posłowi, który w oczach Greków był uosobieniem nieugiętości w walce przeciwko reżimowi „czarnych pułkowników". Jak zginął Panagulis? W przypadkowej katastrofie samochodowej, czy też padł ofiarą zbrodniczego spisku prawicowych ekstremistów? W oficjalnym komunikacie rządu Konstantinosa Karamanlisa eksponuje się pierwszą wersję. Opozycja — od centrum po skrajną lewicę — twierdzi, że było to zabójstwo. Bardzo wiele niewyjaśnionych okoliczności, pospiesznych wniosków i sprzecznych sądów — pisze publicysta „Le Nouvel Observateur" — wiąże się ze śmiercią Panagulisa.

Oto kronika wydarzeń. W sobotę 1 maja około godziny pierwszej w nocy Aleksandros Panagulis wyszedł z popularnej ateńskiej restauracji „Psaropules", gdzie spędził wieczór z przyjaciółmi. Przestępstwa reżimu poznał Panagulis na własnym przykładzie. We wrześniu 1968 roku został ujęty przez policję po nieudanej próbie zamachu na szefa junty — pułkownika Papadopulosa. W katowniach poddawano go okrutnym torturom: bito pałkami po piętach, przypalano prądem elektrycznym, wyrywano paznokcie. W listopadzie tegoż roku skazano go na karę śmierci. Wyroku nie wykonano tylko dzięki szerokiej kampanii protestacyjnej światowej opinii publicznej.

Panagulis wyszedł na wolność w czerwcu 1974 roku, po upadku dyktatury i od razu rozpoczął energiczną akcję demaskowania zbrodni junty. Wielokrotnie oświadczał publicznie, że dopóki kraju nie oczyści się z elementów zamieszanych w przestępstwa junty, dopóty groźba nowego przewrotu wojskowego będzie stale wisieć nad Grecją. Z pomocą postępowej organizacji EDIP, do której należą młodzi ludzie o orientacji umiarkowanie lewicowej, udało mu się zdobyć część archiwów policji wojskowej reżimu „czarnych pukowników". Poczynając od kwietnia tego roku, Panagulis zaczął publikować demaskatorskie dokumenty na łamach wpływowej gazety ateńskiej „Ta — Hea". Opierając się na raportach i sprawozdaniach dwóch głównych arcyłotrów i oprawców — Hacizisisa i Teofilojankosa — relacjonował, do jakich metod znęcania się nad ludźmi sięgała policja wojskowa.

W sobotę 24 kwietnia rząd grecki wydaje zakaz dalszych publikacji artykułów Panagulisa w „Ta-Hea". Władze sądowe żądają od Panagulisa zwrotu archiwum. Oficjalny powód: są potrzebne do rozpoczęcia nowego śledztwa w sprawie przestępstw byłego reżimu. Panagulis odmawia. Co więcej, podaje do ogólnej wiadomości, że od przyszłej niedzieli zamierza rozpocząć publikowanie dokumentów, demaskujących kulisy „zdrady cypryjskiej" i udziału szeregu greckich działaczy politycznych w przygotowywaniu zamachu na życie arcybiskupa Makariosa w lipcu 1974 roku. Panagulis dowiaduje się następnie, że za wszelką cenę chcą go zmusić do milczenia. Postanawia więc wystąpić z tym w parlamencie. Sesję parlamentu wyznaczono na dzień 3 maja...

W piątek 30 kwietnia Panagulis był bardzo podenerwowany. Grożono mu śmiercią listownie i przez telefon. Dwukrotnie —w Atenach i Salonikach — nieznani sprawcy usiłowali zaczepić go błotnikiem samochodu. Swojej znajomej, znanej włoskiej dziennikarce — Orianie Fallacci powiedział: „Ty także uważaj. Oni boją się moich demaskatorskich wystąpień i mogą zaaranżować katastrofę samochodową".

W ostatnich tygodniach podejmuje specjalne środki ostrożności, zawsze chodzi w towarzystwie przyjaciół, a ponieważ jego własny samochód jest dobrze znany, jeździ tylko wynajętymi i to za każdym razem innym.

Tej fatalnej soboty, około godziny dziewiątej wieczorem zatelefonował do niego minister obrony narodowej, Ewangelos Aweroff. Ten sam Aweroff, który w okresie dyktatury pułkowników nawiązywał kontakty między juntą i znajdującym się na emigracji w Paryżu Karamanlisem. Rozmowa trwała krótko i była bardzo burzliwa. Minister nie ograniczył się do obelg, lecz przed rzuceniem słuchawki na widełki jeszcze zagroził: „Rozgniotę cię". Świadkami rozmowy były matka Panagulisa i jego sekretarka.

Po tym incydencie Panagulis udaje się — tym razem sam — do restauracji „Psaropulos". Swoim autem. O pierwszej w nocy opuszcza przyjaciół z którymi jadł kolację.

Pięćdziesiąt minut później, na szosie wiodącej do podmiejskiej miejscowości Wuliagenis, gdzie mieszkał, jego samochód nieoczekiwanie zahacza o pędzące przed nim auto, zjeżdża z szosy i uderza o ścianę sklepu ze sprzętem elektrycznym. Panagulis ponosi śmierć na miejscu.

Kierowca taksówki, przypadkowy świadek katastrofy, zeznał że czerwony „jaguar" jadący z wielką szybkością przed „fiatem" Panagulisa nagle zahamował, a kiedy Panagulis chciał go wyminąć, ten zagrodził mu drogę. Upewniwszy się, że „fiat" rozbił się o ścianę, kierowca czerwonego „jaguara", zawrócił i szybko odjechał w odwrotnym kierunku, do Aten.

Telewizja poinformowała o wypadku następnego dnia, w poniedziałek. Inne informacje nie ukazały się ponieważ w święto 1 maja nie wychodzą gazety. Oficjalny komunikat podał wersję zwykłej katastrofy samochodowej. Ale już w poniedziałek rodzina Panagulisa i cała opozycja polityczna podniosły sprawę tajemniczych okoliczności śmierci posła. Grupa włoskich specjalistów firmy „Fiata", wezwana z Turynu przez rodzinę Panagulisa, po oględzinach samochodu stwierdziła, iż w chwili katastrofy był on pełnosprawny. Lekarze po dokonaniu sekcji zwłok orzekli, że nie stwierdzono w nich śladów alkoholu — wbrew wymysłom policji, że Panagulis był w stanie nietrzeźwym.

Czerwonego „jaguara" odnaleziono w Korinfe, sto kilometrów od stolicy, auto miało zachodnioniemieckie znaki rejestracyjne. Tylny błotnik auta był silnie wgnieciony, zresztą cały samochód nosił ślady kraksy z autem Panagulisa. Właściciel „jaguara", fabrykant z Aten, powiedział, że nie ma pojęcia o tym co się wydarzyło. Zresztą policja zostawiła go wkrótce w spokoju, bo do władz zgłosił się mężczyzna, który oświadczył, że to on siedział tej nocy za kierownicą czerwonego „jaguara".

Ów mężczyzna, 30-letni fotograf Joannis Stefas zeznał, że nie zgłosił się od razu do policji był bowiem „przerażony i wstrząśnięty" wypadkiem, a poza tym dokumenty jego własnego „peugeota-504" nie były w porządku.

Tragiczna śmierć Panagulisa wstrząsnęła Grecją i zaczęła się przeradzać w palący problem polityczny. Przywódca Panhellenistycznego Ruchu Socjalistycznego (PASOK), Andreas Papandreu, podkreślił w specjalnym oświadczeniu: „Elementarne, logiczne wnioski z ogólnie znanych faktów świadczą, że katastrofa nie była przypadkowa. Stronnicy obalonego reżimu i ci którym zależy na poderwaniu demokratycznego ładu w kraju chcieli z pewnością usunąć Panagulisa z drogi". Gazeta „Atinaiki", podzielająca punkt widzenia PASOK, wysunęła przypuszczenie że katastrofę zorganizowano przy pomocy nowej metody, którą stosują zagraniczne służby wywiadowcze: nagłe oślepienie kierowcy specjalnym światłem.

Jeorjos Mawros, przywódca partii Unia Centrum-Nowe Siły, powiedział m. innymi: „Z danych, które przedstawiły mi organa prowadzące śledztwo w sprawie okoliczności śmierci Panagulisa wynika, iż istnieją poważne podstawy do podejrzeń, że było to zabójstwo na tle politycznym".

A kim jest Joannis Stefas, sprawca śmierci posła? Od roku 1971 do 1974 mieszkał w Paryżu. Tygodnik „Le Nouvel Observateur", przy pomocy greckiej dziennikarki, przeprowadził wywiad na miejscu, w Paryżu, próbując określić sylwetkę człowieka, który „dobrowolnie przyznał się do winy". Okazało się, że dobrze znają go Grecy handlujący w Paryżu konfekcją w rejonie ulic Reaumur-Sebastopol. Stefas ma tam opinię ciemnego indywiduum, a na koncie — czeki bez pokrycia, nie zwrócone pożyczki i potajemny wyjazd do Grecji samochodem „peugeot-504", kupionym za pieniądze podjęte awansem od pewnego bardzo naiwnego pracodawcy. Głównym rysem charakteru Stefasa jest niepohamowana chciwość. Politycznie — postać bardzo niewyraźna.

Wyjaśniło się także, że po powrocie do Grecji Stefasa kilkakrotnie aresztowała policja drogowa za podejrzane dokumenty na samochód. Ale — i to jest bardzo dziwne — jego nazwisko nie figuruje w żadnym potokole. Dlaczego? Może był szantażowany? W jaki sposób znalazł się Stefas za kierownicą cudzego samochodu? Istnieje jeszcze jeden zagadkowy fakt. Naczelnik ateńskiej służby bezpieczeństwa — Karatanasis, znany ze swych sympatii dla junty, nie zajmujący się tą sprawą, przyjechał niespodziewanie do komisaritau policji, gdzie trzymano Stefasa w areszcie, i zamknął się z nim w gabinecie, nim sędzia śledczy zdążył zobaczyć i przesłuchać oskarżonego...

Śmierć Panagulisa znów zasnuła polityczny horyzont Grecji i wykazała całą chwiejność demokracji w tym kraju. Armia nadal pozostaje pod wpływami prawicy. Urzędnicy zamieszani w przestępstwa junty nadal pozostają na swoich wysokich stanowiskach. Karamanlisowi, mimo jego przekonywającego zwycięstwa w wyborach, nie udało się usunąć przyjaciół pułkowników i ich nacisk jest jeszcze wciąż bardzo silny.

O tym właśnie chciał powiedzieć poseł Aleksandros Panagulis.

JERZY CZECH

Pokój, bezpieczeństwo, współpraca

Program komunistów Europy

„Jesteśmy głęboko przekonani, że dokument konferencji pomoże zarówno naszej partii, jak i innym bratnim partiom w rozwijaniu internacjonalistycznych więzi dwustronnych i wielostronnych, w wyborze najbardziej istotnych płaszczyzn wspólnej walki o pokój, odprężenie współpracę i postęp społeczny, płaszczyzn umacniających naszą rewolucyjną jedność w walce przeciwko wspólnemu wrogowi, w walce o urzeczywistnienie konstruktywnie zarysowanej przyszłości naszego kontynentu, wzbogacających historyczny dorobek naszego ruchu".

Tymi słowami Edward Gierek określił na konferencji 29 partii komunistycznych i robotniczych w Berlinie znaczenie wspólnego dokumentu zatytułowanego: **„O pokój, bezpieczeństwo, współpracę i postęp społeczny w Europie"**, dokumentu, który przez lata będzie programem działania najbardziej postępowej siły na naszym kontynencie.

Przed tygodniem, przypomnieliśmy, jak daleką drogę przeszła Europa w kierunku pokoju od czasu podobnej konferencji w Karlowych Warach. To, co wówczas stawiano jako zadanie, dziś w ogromnej części jest już faktem. Rozwiązane zostały liczne i ostre problemy, niosące niebezpieczeństwo ogólniejszego konfliktu, zawarto wiele pokojowych układów i porozumień, a szczególnie ważnym etapem utrwalania europejskiego bezpieczeństwa stała się ubiegłoroczna konferencja w Helsinkach.

Mimo to powszechny pokój nie jest jeszcze bynajmniej zagwarantowany. Znów ożywiły się siły jemu przeciwne, które puszczają w propagandowy obieg niedorzeczności o rzekomym „komunistycznym zagrożeniu". Cel tego działania jest oczywisty: przeszkodzić dalszemu postępowi, zatruć międzynarodową atmosferę, przerzucić odpowiedzialność za kryzysy świata kapitalistycznego na kraje socjalistyczne. Oczywiście, wszystko to musi runąć, jak przysłowiowy domek z kart, ale przecież działalności tej nie można lekceważyć. Tym bardziej że tyle jeszcze problemów pozostało do rozwiązania.

Berliński dokument partii komunistycznych i robotniczych stawia w centrum uwagi zagadnienie rozbrojenia. Europa, żeby użyć określenia Leonida Breżniewa, wciąż jest jeszcze „prochownią" i to prochownią atomową. Dlatego zmierzać trzeba konsekwentnie do: zaprzestania wyścigu wszystkich rodzajów zbrojeń, a zwłaszcza nuklearnych, przyśpieszenia rokowań na temat powszechnego i całkowitego rozbrojenia pod kontrolą międzynarodową, likwidacji obcych baz wojskowych i wycofania obcych wojsk oraz systematycznego obniżania wydatków wojskowych w budżetach wszystkich państw.

Najniebezpieczniejszą z wszystkich broni jest broń nuklearna. Aby uniemożliwić jej zastosowanie konieczne jest: zobowiązanie się wszystkich do nieużywania jej, zaniechanie wyścigu zbrojeń i w tej dziedzinie, zakazanie doświadczeń we wszystkich środowiskach, wycofywanie jej z terytoriów innych państw, redukcja uzbrojenia jądrowego aż do zaniechania jej produkcji i zniszczenia nagromadzonych zapasów.

Z arsenału środków militarnych powinna być także usunięta broń bakteriologiczna i chemiczna, a produkcja nowych rodzajów broni masowej zagłady stanowczo zakazana.

W obszernym programie uzupełnienia odprężenia politycznego militarnym jest również punkt, mówiący o tym, że partie komunistyczne i robotnicze Europy opowiadają się za niedopuszczeniem do tworzenia nowych bloków i ugrupowań militarnych.

Trzy dalsze rozdziały berlińskiego dokumentu zatytułowane są: **„Wykorzenić faszyzm, obronić demokrację i niezawisłość narodową", „O rozwój wzajemnie korzystnych współpracy, o lepsze wzajemne zrozumienie między narodami"** oraz **„O pokój, bezpieczeństwo, współpracę, niezawisłość narodową i postęp społeczny na całym świecie".**

Pierwszy z wymienionych przed chwilą traktuje o sytuacji w Hiszpanii, Portugalii, na Cyprze oraz w Grecji, drugi nawołuje do **„rozwoju i rozszerzenia współpracy między państwami w skali ogólnoeuropejskiej, zgodnie z zasadami zawartymi w Akcie Końcowym konferencji w Helsinkach"** i precyzuje płaszczyzny tej współpracy, trzeci z pozytywnych przemian na naszym kontynencie wyprowadza wniosek, że są pomyślne warunki dla walki wyzwoleńczej narodów, walki przeciwko zagrożeniu wojennemu oraz rozciągnięciu odprężenia także na inne części świata. Uczestnicy konferencji wypowiedzieli się za: likwidacją wszystkich ognisk zagrożenia wojennego, nieingerowaniem z zewnątrz w sprawy narodów Bliskiego Wschodu, udzieleniem dalszego poparcia narodom Wietnamu, Laosu i Kambodży, rządowi i narodowi Ludowej Republiki Angoli, uwolnieniem wszystkich patriotów chilijskich, wszechstronnym poparciem Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej w walce o zjednoczenie kraju, narodów arabskich i południowej Afryki w ich walce antyimperialistycznej...

Berlińska konferencja partii komunistycznych i robotniczych miała charakter regionalny. Mówiono więc na niej przede wszystkim o Europie. Jednakże **przekonani, że pokój jest niepodzielny komuniści europejscy podjęli także problemy walki o pokój i bezpieczeństwo na całym świecie.**

Spotkanie delegacji 29 partii komunistycznych i robotniczych w Europie, zainicjowane przez naszą partię wespół z Włoską Partią Komunistyczną, przejdzie do historii jako doniosły krok na drodze do urzeczywistnienia ideałów naszego ruchu.

W. SŁAWSKI

LATO-76

TRENING

Redaktor L. ma szerokie znajomości. Ho, ho — mówią o nim — on zna połowę potrzebnych ludzi, a druga połowa jego zna. Redaktor L., jako człowiek bywały i światły, ma również swoje prywatne, rzekłbym — intymne hobby. Niby nic wielkiego, a jednak zawszeć można w najlepszym towarzystwie powiedzieć:

— Wyobraźcie sobie, okazyjnie dostałem ostatnio fotel Ludwika XIV. Nareszcie mam cały komplet. Ach, jak się Zosia ucieszyła (lub coś innego w tym rodzaju).

Kłopot jednak w tym, że hobby redaktora L. wprost nie pasuje do obrazu człowieka światłego i bywałego, za jakiego chce on uchodzić w oczach bliźnich. Bo czyż głupim i w gruncie rzeczy bezsensownym moczeniem wędki nad byle jakim bajorkiem można komukolwiek zaimponować?

Toteż L. swoją pasję otacza tajemnicą i łowi ryby tylko w czasie urlopu. Pozostałe miesiące zaś poświęca na pracowite przygotowywanie wędek, smarowanie kołowrotków i pucowanie haczyków, a także, rzadko bo rzadko, na suche treningi na pokojowym parkiecie. Aliści tegoroczna wiosna, tak obfita w przedolimpijskie treningi sportowców, podsunęła redaktorowi L. nieoczekiwany pomysł.

— Czy wy, kolego — powiedział któregoś wiosennego dnia, zatrzymując mnie na pustym redakcyjnym korytarzu — **mielibyście ochotę na rybkę?**

— Oczywiście, bardzo chętnie — ochoczo odpowiedziałem — za pięć minut będę wolny. Ale ja zapraszam!

— No, tak — powiedział L. przeciągając słowa — **ale ja, wiecie, myślałem o rybie w ogóle.**

— W ogóle? — zdziwiłem się. — To o rybach można też szczegółowo?

Tu L. ożywił się i wziąwszy mnie pod ramię zaszeptał konfidencjonalnie:

— Słyszałem, kolego, że kupiliście niedawno samochód, może więc wyskoczylibyśmy wspólnie na ryby? No, wiecie, na taki mały przedwakacyjny trening.

— Ależ ja się na tym nie znam. W życiu nie trzymałem wędki w ręce.

— Kochany, wszystkiego trzeba w życiu posmakować — zaszeptał L. gorąco — **zresztą przy mnie nie zginiecie. Z rybami też kłopotu nie będzie. Przed rokiem, gdy pisałem reportaż o Z., zaprosił mnie na ryby sam naczelnik miasta. Muszę mu tylko przypomnieć o tym zaproszeniu, o resztę nie martwcie się.**

No i jak tu nie wierzyć redaktorowi L., że ma szerokie znajomości? Pojechaliśmy. Naczelnik czekał już od szóstej.

— Witam, panie redaktorze. Najpierw muszę wam podziękować za reportaż. Bardzo nam pomógł, mieliśmy nawet interwencję ze szczebla w sprawie tych zastępczych materiałów.

Ale L. niecierpliwie przerwał potok podziękowań:

— Dajcie spokój, naczelniku. Pomógł to pomógł. Nie ma sprawy. Obiecaliście pokazać nam dobre miejsce na ryby, więc prowadźcie.

Na małej łące, w trzech miniaturowych stawach, przeglądało się poranne, jasne słońce. Naczelnik podprowadził nas do pierwszego stawu.

— Tu są karpie i liny — wskazał na małe, porośnięte rzęsą bajorko. — **W drugim powinny być brzany, karasie i okonie, w trzecim szczupaki. Ja jednak polecam karpie. Duże, tłuste, dobrze karmione. O, słyszycie, jak się rzucają** — mówił naczelnik.

Rzeczywiście potężnie plusnęło, ale tym razem nie była to radośnie figlująca ryba, lecz redaktor L., który z gracją, acz nieumiejętnie, próbował sforsować maleńki strumyk wpływający do stawu.

Po godzinie, gdy wędki zostały złożone, kołowrotki zadziałały, a na haczykach wiły się robaki, zarzuciliśmy. To znaczy ja zarzuciłem, bo redaktor L. zaczepił haczyk o stojące nad brzegiem drzewko. Z pomocą pośpieszył mu naczelnik, który postanowił towarzyszyć nam do czasu pierwszej złowionej przez nas ryby.

— Dawno już mówiłem, żeby to drzewo wyciąć — sapał naczelnik, usiłując przygiąć do ziemi najwyższą gałąź, w którą wbił się haczyk redaktora L. Po trzydziestu minutach haczyk, oczywiście bez robaka, wrócił do właściciela, a nad wodą zwisała złamana gałąź.

— To dziwna sprawa — sumitował się naczelnik — **ile razy przychodzę tu z wędką, również zaczepiam o to drzewko. Ale jakie ryby później łapię. Ho, ho! No, na szczęśliwą wróżbę!**

Zarzuciliśmy. Wokół panowała cisza, przecinana raz po raz świstem wędek, które co jakiś czas wyciągaliśmy z wody, uważnie oglądając bezradnie wijące się robaki. Po godzinie przemówił naczelnik:

— Mnie też tak i godzinę potrafi nic nie brać, ale potem wyciągam taaakie ryby.

Słońce stanęło w zenicie, gdy naczelnik, rozluźniwszy krawat, powiedział:

— To, redaktorze, są najlepsze stawy w całej okolicy. Lepszych nigdzie nie ma. Karpie jak nie przymierzając cielaki, a szczupaki to strach z wody wyciągać, takie bestie wielkie.

Moja wędka od dawna już schła w cieniu drzewa, a ja, gryząc źdźbło trawy, popatrywałem na redaktora L., który z samozaparciem, ba, z determinacją raz po raz zarzucał wędkę w najodleglejsze miejsca stawu. Było już wczesne popołudnie, gdy naczelnik dorzucił:

— Wiecie, redaktorze, te stawy znane są daleko poza granicami miasta. Kto tu już nie przyjeżdżał! Z województwa sam (tu naczelnik zniżył głos) **wyciągnął takiego szczupaka.**

Przed wieczorem powiał lekki wiaterek. Zrobiło się chłodno, założyliśmy koszule, a naczelnik dopiął starannie krawat.

— Och, powiem wam w zaufaniu — kontynuował — **że w sprawie tych stawów miałem interwencję z samego ministerstwa. Nie wiadomo, skąd dowiedzieli się, że my tu mamy taaakie ryby. No i jest projekt założenia w naszej miejscowości ośrodka wędkarskiego. O, tu ma stanąć hotel dla zawodników, tam będą domki campingowe, a ten staw przeznaczymy na treningi naszej kadry narodowej. Idealne miejsce: spokój, klimat, do miasta niedaleko.**

W powoli zapadającym zmierzchu spławiki zaczęły maleć, a nawet jakby się rozdwoiły. Redaktor L., z zaciętym wyrazem twarzy, raz po raz machał nad wodą wędziskiem. Naczelnik rozgadał się na dobre.

— Mieliśmy nawet projekt, żeby wystąpić do ministerstwa o pozwolenie na eksport naszych ryb. Miasto niebogate, przemysłu nie ma, a z eksportu byłby chyba niezły dochód. Te stawy to oczywiście nie jest Bałtyk, ale ryby są, a w Bałtyku nawet o śledzie coraz trudniej. Jak sądzicie, redaktorze, pomysł chyba niezły?

Odpowiedzi redaktora L. nie usłyszałem, bo plusnęło. Redaktor L. złapał. Indywidualnie złapał. Naczelnika wyciągaliśmy wspólnie.

MIROSŁAW KUŹNIAK

SPORT

...I ICH NASTĘPCY

Paszporty olimpijskie rozdano. Dla jednych z tego powodu radość, dla innych — zawód, rozczarowanie. A powinno być też zastanowienie nad tym, co zrobić aby w przyszłości dorównać najlepszym. Wprawdzie do następnej olimpiady całe cztery lata, ale to się tylko teraz tak wydaje, że czasu jest wiele,

Rozdano olimpijskie paszporty i tylko pozostało czekać do 17 lipca 1976 roku, kiedy to na stadionie w Montrealu zapłonie olimpijski znicz, kiedy zacznie się olimpijska walka, w której najlepsi sięgną po medale. Że czasem będą to nie ci, o których myśleliśmy i na których stawialiśmy — o tym nie zapominajmy. Ale nie zapominajmy też o tym, że teraz i później, do sportowej walki stawać będą setki sportowców. Istnieje ścisły związek między tym, co dzieje się na boiskach przez cały czas, a tym co dzieje się co 4 lata na olimpijskich stadionach. Tych zależności często nie dostrzegamy, zapominamy o nich i później stajemy nagle w obliczu kryzysu którejś ze sportowych dyscyplin.

Istnieje niewątpliwy związek między sportową walką młodzieży szkolnej a poziomem sportu w kraju i tym, co na olimpiadach pokazują nasi reprezentanci. Istnieje w ogóle związek między poziomem sportu w szkole, a poziomem poszczególnych dyscyplin uprawianych w klubach. Jeśli tego związku nie dostrzega się, to wtedy traci się szansę na kształtowanie sportowego zaplecza. Stara to prawda, powtarzana już do znudzenia, z której jakoś ciągle niewiele pożytku.

Dorobiliśmy się powszechnej oświaty i słusznie uznajemy to za nasze wielkie osiągnięcie. Ale też konsekwencją tego powinien być ścisły związek sportu ze szkołą. Kluby winny tam szukać przyszłych mistrzów olimpijskich. W szkolnym sporcie powinno kształtować się ambicje sprostania najlepszym, chęć mierzenia wysoko. Powinno się też wyrabiać umiejętność takiego przyjmowania porażki, aby mogła ona stać się zachętą do dalszej pracy, pomocą w przełamywaniu słabości i doskonaleniu swoich sportowych umiejętności.

Wspominam o tym z okazji zbliżającej się olimpiady nie bez powodu. Wielu naszych olimpijczyków mierzyć będzie wysoko i wielu na pewno uda się osiągnąć sukcesy. Ale będą i tacy, którzy ustąpią lepszym od siebie. Myślę, że zarówno przyszłe sukcesy jak i porażki trzeba będzie umieć przyjąć we właściwych wymiarach: bez zawrotu głowy od sukcesów i bez darcia szat, jeśli przegramy. Z wszystkiego, co się stanie w Montrealu trzeba będzie umieć wyciągnąć właściwe wnioski.

Jedna sprawa powinna być już dla nas jasna i to teraz, nim się jeszcze zaczęły olimpijskie zmagania. Trzeba przygotować się na niepowodzenia w piłce nożnej. Wprawdzie zwycięstwo naszej przygotowującej się do olimpiady reprezentacji nad olimpijską reprezentacją Brazylii (0:3) przyjęto z nadzieją, że nasi „wspaniali" piłkarze już przełamali złą passę, że się wzięli do roboty i już będzie dobrze, ale przecież ci sami „wspaniali" chłopcy w Krakowie zremisowali zaledwie z jugosłowiańską ligową „Vojvodiną". Remis to jest formalny, bo polscy piłkarze strzelili Jugosłowianom tylko 3 gole, jako że czwarty był samobójczy. Poza tym Jugosłowianie w Krakowie chwilami byli lepsi, a to już nie najlepiej świadczy o poziomie przygotowania naszej kadry bądź co bądź olimpijskiej.

W olimpijskim turnieju piłki nożnej nie biorą udziału takie potęgi jak w mistrzostwach Europy czy świata, choć kilka drużyn gra na zupełnie przyzwoitym poziomie i skutecznie rywalizuje z najlepszymi w Europie i świecie. Może się zatem i na olimpiadzie wszystko zdarzyć i może nasz zespół osiągnąć wcale przyzwoity wynik. Ale to w niczym nie zmieni sytuacji.

Zespół piłkarski CSRS ledwie co zdobył tytuł mistrza Europy, jeszcze się piłkarze tym nie nacieszyli, a już w CSRS mówi się głośno o tym, że do Argentyny musi pojechać zupełnie inna drużyna, że ta z Belgradu pokazała swoje i więcej nie osiągnie. Podoba mi się takie myślenie i życzę naszym południowym sąsiadom, aby byli konsekwentni w realizowaniu takiej zasady. A u nas? Dlaczego u nas nie można tak samo? Dlaczego inni mają uczyć się na naszych błędach?

U nas za to dużo się mówi i to w dodatku niezupełnie na temat, albo — co gorsze — niezupełnie prawdę. Zaraz po mistrzostwach świata głośno było o tym, że srebrny medal to zasługa nie tylko Kazimierza Górskiego i ludzi z nim współpracujących, ale również klubów, które dobrze przygotowały medalistów. Były to piękne słowa, które były taktycznym ukłonem w stronę klubowej kadry trenerów i działaczy. Coś na nich z tego światowego srebra powinno było spłynąć. Nieszczęście polegało na tym, że niektórzy uwierzyli w to, co było nieprawdą i co później wielokrotnie potwierdzała ligowa prawda. Powszechnie było też wiadomo, że wielu medalistów łakomie spoziera na zachód, tam gdzie Robert Gadocha i Włodzimierz Lubański piłkę kopią. I nie tylko oni zresztą. Był więc czas na tworzenie nowej drużyny. Ale tego czasu nie wykorzystano. Co więcej niczego nas nie nauczyła klęska w mistrzostwach Europy. Startujemy do montrealskiego turnieju w „dobranym gronie" i wierzę nawet, że nasi „wspaniali" chłopcy będą próbowali wykrzesić z siebie sporo, bo przecież ciągle liczą na zagraniczne propozycje. Zresztą wróble ćwierkają, że również Kazimierz Górski pragnie zrezygnować z opieki nad naszą piłkarską kadrą. Trudno mu się nawet dziwić.

A więc co dalej będzie z polską piłką nożną? Ponoć zespół juniorów mamy nie najgorszy. Tylko juniorzy nie zagrają w najbliższym meczu eliminacyjnym do mistrzostw świata. Czy do tego czasu zdążymy zbudować nowy zespół? Nie mam takiej pewności. Nikt jej chyba nie ma. Niektórzy przypominają, że 4 lata temu, też przed olimpiadą, podobnie czarne myśli chodziły nam po głowie. Ale od tamtego czasu minęły cztery lata.

BOGDA MADEJ

„NESSIE"

W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

Dalszy ciąg ze str. 1

adwokat i zarazem inżynier, a finansuje ją Academy of Applied Science z Bostonu oraz „New York Times". Pierwsza grupa uczestników wyprawy, liczącej ogółem dwudziestu kilku ludzi, dotarła na początku maja nad brzegi szkockiego jeziora. Składa się ona głównie z Amerykanów, ale są tam także Kanadyjczycy, Szkoci i Anglicy. Zoologowie z uniwersytetów Harvard i Cambridge, „Smithsonian Institution" i „British Museum of Natural History" — pełnią funkcję doradców ekspedycji. Mają oni przystąpić do pracy w chwili, kiedy badacze, posługując się najnowocześniejszymi kamerami podwodnymi, sonarami oraz innym precyzyjnym sprzętem elektronicznym, dostarczą odpowiednio szczegółowych informacji i zdjęć tajemniczego mieszkańca głębin Loch Ness. Na podstawie dotychczasowych opisów i mało ostrych zdjęć fotograficznych, wyłania się raczej dość nieokreślony obraz potwora — z niewielką głową, pokrytą licznymi narośla mi, długą szyją, przypominającą szyję smoka lub węża oraz wielkim nieforemnym tułowiem, z płetwami w kształcie rombów.

Oczywiście dla sceptyków są to zbyt mało przekonywające dowody, aby uwierzyli w prawdziwość istnienia dziwnego monstrum. Wszystkie te opisy, zdaniem krytyków, były raczej wytworem fantazji rzekomych obserwatorów i niewiele miały wspólnego z rzeczywistością. Jednak zwolennicy uważają, że dają one niezwykle cenny ślad: być może jest to zaskakujący kaprys natury lub jakaś pozostałość ery mezozoiku — albo też całkiem współczesne zwierzę wodne, tyle że jeszcze nieznane.

Czas trwania ekspedycji nie został określony. Jak powiedział kierownik wyprawy, Rines, **„nie zakończymy prac, dopóki zagadka nie będzie rozwiązana".** Podobnego zdania są pozostali uczestnicy tego przedsięwzięcia.

„Jestem eksperymentatorem" — stwierdził Harold E. Edgarton, profesor Massachusetts Institute of Technology i czołowy ekspert wyprawy w dziedzinie podwodnej fotografii. — **„Nigdy nie rozstrzygam o czymś, czego nie widziałem na własne oczy. Nikt nie może wiedzieć, co tam znajdziemy".**

Wypowiedź ta pozostawała w związku z licznymi spekulacjami na temat tajemnicy jeziora, a do których asumpt dały zdjęcia i rejestracje sonarów, wykonane podczas wypraw w 1972 i 1975 roku. Nawet stosunkowo ostrożni w formułowaniu sądów specjaliści, byli tak dalece pod wrażeniem rezultatów owych badań, iż postanowili niezwłocznie zintensyfikować poszukiwania. Dr George R. Zug, dyrektor oddziału w muzeum gadów i organizmów amfibiotycznych przy Smithonian Institution w Waszyngtonie doszedł m. in. do następującego wniosku:

„Sądzę — powiedział — **że informacje, jakie dotąd zebrano na temat owego ogromnego zwierzęcia, nie są wystarczające, aby na ich podstawie zidentyfikować je bez cienia wątpliwości. Byłoby więc pożądane zbadać dokładniej świat fauny i flory jeziora Loch Ness".**

Przygotowania do wyprawy trwały szereg miesięcy i były zakrojone na szeroką skalę. Poszukiwania miały się koncentrować głównie w rejonie tzw. Zatoki Urquharta, gdzie w okresie lat 1961—1970 zarejestrowano 57 spośród wszystkich 258 „autentycznych" obserwacji, między innymi stamtąd właśnie pochodziły intrygujące zdjęcia z 1972 i 1975 roku.

Po przybyciu na miejsce członkowie ekspedycji umieścili sprzęt obserwacyjny na specjalnych łodziach, które zakotwiczono ponad 100 metrów od wybrzeża jeziora. Następnie płetwonurkowie zainstalowali pod wodą (na głębokości ok. 12 metrów) pewną ilość kamer i reflektorów. Jedna z kamer telewizyjnych miała za zadanie nieprzerwanie rejestrować podwodne życie Loch Ness. Z kolei na lądzie co najmniej jeden z członków ekipy badawczej był obowiązany do stałej obserwacji monitora telewizyjnego, pokazującego obraz z głębin jeziora. W przypadku zauważenia czegoś interesującego na ekranie miano natychmiast uruchomić kamery czarno-białe i kolorowe, aby utworzyć obraz przestrzenny każdego wykrytego obiektu.

Możliwości działania przy pomocy zainstalowanych kamer są według oceny członków wyprawy nieporównanie większe niż za pośrednictwem aparatów użytych w poprzednich próbach. Obecnie zastosowano między innymi kamerę 16-milimetrową niemal całkowicie zautomatyzowaną, dzięki czemu po 15 sekundach gotowe są już odbitki. Posługując się właśnie taką kamerą, profesor Edgarton odkrył już liczne zatopione skarby i zbadał historyczne wraki. Kamera ta jest sprzężona z innym wynalazkiem profesora — reflektorem błyskowym dla seryjnej fotografii („stroboskopem"), który wraz z silnymi reflektorami światła ciągłego, czyni zamuloną, torfiastą wodę szkockiego jeziora niemal całkowicie przejrzystą.

Jednakże badacze posługują się nie tylko samymi kamerami, aby wyśledzić tajemnicze monstrum, korzystają także z sonaru i emiterów podczerwieni. Z wysokości zamku Urquharta — George Newton, również profesor MIT, operuje po powierzchni zatoki wysokoczułym emiterem promieni podczerwonych. O ile tylko „Nessie" zbliży się do powierzchni wody, aparatura Newtona, która może rejestrować różnicę temperatur mniejszą niż 1 stopień, natychmiast wykryje wypromieniowanie ciepła przez potwora i podniesie alarm. Z kolei polowanie na potwora za pomocą fal dźwiękowych ma odbywać się w trzech etapach. W pierwszej fazie, jak oświadczył ekspert od sonarów, Martin Klein, zostanie zastosowany tzw. sonar boczny, przy pomocy którego dokona się penetracji podwodnych pieczar w stromych wybrzeżach jeziora, zamieszkiwanych, być może, przez legendarne stwory. Inny, sztywno zamocowany sonar, umieszczony będzie w pobliżu kamer. W wypadku, gdy w polu promieni owego obrotowego sonaru znajdzie się jakiś obiekt, zostanie on natychmiast wykryty i zidentyfikowany dzięki kamerom. Trzeci etap użycia sonaru przewiduje poszukiwania ewentualnego szkieletu Nessie. Martin Klein mocno wierzy w szczęście głównego naukowca ekspedycji:

„Podejmowaliśmy już z Edgartonem różne, wręcz niemożliwe do przeprowadzenia próby i zawsze wychodził z nich zwycięsko. Toteż i tym razem jestem optymistą".

Wyłania się jednakże pytanie, czy badacze zdają sobie sprawę, czego właściwie szukają. Jakie są ich przypuszczenia, odnośnie obiektu tych poszukiwań? Spekulacje na temat pochodzenia monstrum są wielorakie.

Czy to jest ssak? Christoper McGowan, specjalista w dziedzinie paleontologii ssaków Royal Ontario Museum w Toronto wątpi, iż chodzi tu o rodzaj wieloryba, delfina lub foki.

„Zwierzęta te są nieporównanie bardziej żywotne i byłyby także znacznie częściej widziane, a więc także i zidentyfikowane".

A może jest to typ organizmu amfibiotycznego? W latach trzydziestych różni obserwatorzy widzieli w zaroślach wzdłuż jeziora jakiegoś **„budzącego grozę potwora".** Ale wiarygodność tych relacji jest raczej wątpliwa. Roy P. Mackel, profesor biochemii na Uniwersytecie Chicago i zarazem autor książki „The Monsters of Loch Ness", sądzi raczej, że mogłoby tu chodzić o ogromnych rozmiarów wodną salamandrę. Jednak długa, cienka szyja i mała głowa — pojawiające się w większości opisów „Nessie" — skłaniają wielu ekspertów do przypuszczeń, że „Nessie", o ile rzeczywiście istnieje, jest gadem. Według specjalistów, potwór może przypominać plezjozaura, gada morskiego, który według szacunkowych obliczeń wymarł przed 70 milionami lat.

Ich hipoteza brzmi następująco: szkockie jezioro, po ostatniej epoce lodowcowej, wskutek tektonicznych ruchów skorupy ziemskiej zostało pozbawione łączności z morzem i w rezultacie odcięty został powrót do oceanu dla wielu ogromnych zwierząt, zamieszkujących jego głębiny. Po upływie wielu tysięcy lat przystosowały się one do słodkiej wody i, co jest charakterystyczne dla gadów, do niższej jej temperatury.

Sceptycy naturalnie widzą co najmniej tyle samo możliwości dla wykazania, że obserwacje z Loch Ness nie są niczym nadzwyczajnym. Otóż za potwora można było brać pływające pnie drzew, często o dziwnych kształtach, albo ławice ryb, uformowane w dziwaczne konfiguracje, co powodowało, że na zdjęciach i ekranach sonarów powstawało złudzenie, że jest to jakieś prehistoryczne zwierzę, bądź mogły to być po prostu gęste chmury komarów, wykonujących ewolucje nad powierzchnią jeziora.

„Możliwe nawet, iż nie znajdziemy niczego szczególnego — stwierdził paleontolog McGowan — **ale możliwe, że odkryjemy także coś, czego nikt jeszcze nie widział. I to właśnie czyni całą sprawę tak podniecającą".**

No cóż, zaczekajmy na pierwsze wyniki wyprawy. A swoją drogą, byłoby chyba trochę żal pozbawiać jezioro Loch Ness jego mitu. Wszyscy przyzwyczailiśmy się do „Nessie", może nawet polubiliśmy go, a poza tym zniknąłby przecież żelazny temat do publikacji na „ogórkowy sezon".

BOHDAN FELT

VADEMECUM

Nikt już zapewne nie jest w stanie spamiętać, ile różnego rodzaju satyrycznych „vademecum" wydał w ostatnich latach Jerzy Wittlin. Najnowsze — choć zapewne nie ostatnie — nosi tytuł „Vademecum dla tych, którym się nie śpieszy". Następna książka może być poświęcona tym, którym się śpieszy, dalsza może być poświęcona tym, którzy chcą „vademecum" napisać lub zgoła tym, którzy zechcą „vademacum" czytać...

No, właśnie. Wydawca jest przekonany, że znajdzie się aż 50 tysięcy osób, które kolejne „vademecum" Wittlina zechcą przeczytać. Wydaje się, że jest to optymizm mocno przesadzony. Jest to książka — niestety — nudna i raczej mało dowcipna. Powtarzanie nie raz już wykorzystanych chwytów, manierka encyklopedyczna i poza na polskiego Parkinsona nie zastąpi dowcipu i atrakcyjności książki nie przydaje.

Jeśli komuś naprawdę nigdzie się nie śpieszy i ma masę wolnego czasu — to z większym pożytkiem wykorzysta go idąc po prostu na spacer.

Jerzy Wittlin „Vademecum dla tych, którym się nie śpieszy". Książka i Wiedza, cena 18 zł.

SKRZYDLATE FATUM

Władysław Kisielewski jest autorem jednego tematu. Po raz pierwszy zetknąłem się przed dwudziestu laty z jego książką „Z Torunia do Londynu podróż z przeszkodami", w której opowiedziano wojenne losy polskich lotników. I tak już zostało. Dalsze książki Kisielewskiego, niezależnie od zmieniających się tytułów, wciąż opowiadają tę samą historię. Nieraz zresztą są to te same książki, tyle, że tytuły są nowe.

„Skrzydlate fatum" jest powieścią, która opowiada mniej więcej to samo, co wspomnienia Kisielewskiego. Trzeba jednak przyznać, że jest to lektura zajmująca i można ją polecić na wakacyjne wieczory.

Władysław Kisielewski „Skrzydlate fatum", Wyd. Lubelskie, cena 27 zł.

BIEDNI LUDZIE

Fiodor Dostojewski, jeden z najwybitniejszych pisarzy rosyjskich, po studiach (skończył inżynierię wojskową) nie zajął się fortyfikacjami, lecz poświęcił się pracy literackiej. Dwa lata później, w roku 1846, zadebiutował powieścią „Biedni ludzie", którą krytyka przyjęła entuzjastycznie obwołując Dostojewskiego kontynuatorem... tradycji Gogola.

Oczywiście losy twórczości Dostojewskiego potoczyły się inaczej — nie został „drugim Gogolem", ale ta debiutancka powieść istotnie przypomina atmosferę słynnego „Szynela" Gogola. Dostojewski w osobie Diewuszkina rozwija jak gdyby i kontynuuje temat gogolowski.

„Biedni ludzie" to dramat uczuć, które nie mają racji bytu w nędznej wegetacji urzędnika podrzędnej kategorii. Bohaterem powieści jest biedny urzędnik o gołębim sercu, niemłody, śmieszny i lekceważony przez wszystkich. Ów biedaczyna pozwala sobie na luksus bezinteresownej miłości i ochranianie przedmiotu swych uczuć przed zasadzkami i trudami życia — luksus opłacany głodowaniem i upokorzeniami.

Młodzieńcza powieść Dostojewskiego wydana została w masowym stutysięcznym nakładzie w serii „Kolibra".

Fiodor Dostojewski „Biedni ludzie", Książka i Wiedza, cena 12 zł.

FANTASTYKA RETRO

Lat temu bez mała trzydzieści Julian Tuwim opracował antologię „Polska nowela fantastyczna". Nie było wówczas mody retro ani mody na futurologię. Literacką fantastykę traktowano trochę jak jarmarczne kuriozum i to była chyba główna przyczyna, dla której Tuwim owe zapomniane nowelki odkurzył i przypomniał ich autorów.

W antologii pomieszczono utwory dziewiętnastu autorów, nieraz doszczętnie zapomnianych jak Ludwik Sztyrmer czy Józef Dzierzkowski. Ale są w tym zbiorze także takie nazwiska jak choćby Bolesław Prus. Mało kto wie, że największy pisarz polskiego realizmu krytycznego jest również autorem nowel fantastycznych. Oczywiście nie zabrakło w antologii — bo zabraknąć nie mogło — fragmentu słynnego Rękopisu znalezionego w Saragossie" Jana Potockiego, nie zabrakło też klasycznych dzisiaj nowel Stefana Grabińskiego. Myli się jednak Tuwim pisząc, że niesamowite „nowele kolejowe" Grabińskiego zyskały sobie krótkotrwałą popularność. Dziś Grabiański jest wznawiany i czytany — z pewnością nie tylko za sprawą mody na fantastykę, lecz dla wysokich wartości literackich.

Warto też przypomnieć, że słynny dziś „Rękopis znaleziony w Saragossie" był w roku 1949 odkryciem dla polskiego czytelnika. Pełne tłumaczenie tej powieści ukazało się w Polsce dopiero po tuwimowskiej antologii, choć oczywiście istniało przedtem polskie wydanie w Lipsku w roku 1847.

Tuwimowska fantastyka retro, pięknie wydana w serii Biblioteki Klasyki Polskiej i Obcej zainteresuje na pewno szerokie grono czytelników.

„Polska nowela fantastyczna", zebrał Julian Tuwim. Wyd. Literackie, cena 60 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

T. Chróścielewski „Szkoła dwóch dziewcząt". WL, cena 30 zł
O. Lange „Nagie życie", PIW, cena 150 zł
B. Antoniewicz „Idę z tobą", Ossolineum, cena 15 zł
O. J. Cardoso „Nie odbierajcie", WL, cena 10 zł
K. Chmielowiec „Trudny dar", Ossolineum, cena 15 zł
W. Czapliński „Władysław IV", PIW, cena 60 zł
J. Kraszewski „Milion posagu", WL, cena 20 zł
D. Lawrence „Poezje wybrane", WL, cena 50 zł
S. Rychliński „Wybór pism", PWN, cena 70 zł

W PĘPKU AMERYKI

W reporterskiej twórczości Melchiora Wańkowicza były książki wielkie poprzez wagę tematu, i były książki znaczące poprzez narosłą legendę wokół wydarzeń opisanych przez autora. Mam tu na myśli choćby „Na tropach Smetka", „Tworzywo", „Karafka La Fontaine'a" czy „Monte Cassino" i „Westerplatte".

Ale w twórczości Wańkowicza były również książki popularne, o nieco mniejszej randze. Do nich zaliczyć można świetny w swoim stylu cykl amerykański. Należą do niego choćby „Królik i oceany", „Atlantyk — Pacyfik" czy „W pępku Ameryki". Cykl ten nazwany „W ślady Kolumba" był wznawiany, jak zwykle w wypadku Wańkowicza, w dużych nakładach.

Obecnie w „Dziełach wybranych" ukazał się trzeci tom zatytułowany „W pępku Ameryki". Wańkowicz — jak wiadomo — sporą część swego życia przemieszkał w Ameryce, znał ten kraj świetnie, poznał jego wszystkie problemy. Duży, blisko 400-stronicowy reportaż Wańkowicza z pępka Ameryki jest właśnie relacją z podróży przez kontynent. Jest to jednakże podróż poprzez dzieje Ameryki, poprzez jej politykę i gospodarkę, obyczajowość i egzotykę.

Jest to także podróż przez dzieje polskiej emigracji w Stanach Zjednoczonych. A dzieje tej emigracji sięgają... XVII wieku, kiedy to przybył do Ameryki Olbracht Zaborowski — uchodźca polityczny, który opowiedział się za szwedzkim najeźdźcą i potem musiał wiać z kraju. W początkach XVIII wieku ląduje w Ameryce parę tysięcy polskich arian — również popleczników szwedzkiej inwazji... Dalej opowiada Wańkowicz o udziale Polaków w amerykańskiej Wojnie Domowej, o polskich stowarzyszeniach, prasie... Jest to więc podróż urozmaicona i kształcąca.

Melchior Wańkowicz „W pępku Ameryki", Wyd. Literackie, cena 65 zł.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

Mowa spontaniczna

Niedawno Bohdan Tomaszewski pisał o „mowie spontanicznej" sprawozdawców sportowych. Oczywiście jest w tej mowie sporo śmieszności, jak choćby to zawołanie z Wyścigu Pokoju: **„Szozda, cudowne dziecko dwóch pedałów"**. Ale cóż, mówiąc szybko, w wysokiej temperaturze emocji, popełniamy lapsusy wszyscy — nie tylko sprawozdawcy sportowi.

Ale ich właśnie najczęściej kojarzy się ze śmiesznostkami mowy spontanicznej. Pamiętam na przykład jak Zbigniew Wojciechowski z łódzkiego Radia zawołał kiedyś „sprawozdając" jakiś mecz: **„atak ŁKS-u spełzł na panewce"**. Była to twórcza transformacja dwu powiedzonek: **„spalić na panewce"** oraz **„spełznąć na niczym"**. Spełznąć na panewce to absolutna, odkrywcza językowo nowość.

Ale nie żartujmy. Zrobiłem kiedyś taki eksperyment. Otóż oglądając w telewizji mecz piłkarski włączyłem magnetofon i nagrałem komentarz Jana Ciszewskiego. Potem przepisałem d o s ł o w n i e ów tekst. Ludzie kochani! Cóż to był za bełkot!

Nie wykorzystałem jednak tego materiału w felietonie. Wydaje mi się bowiem, że byłby to zabieg nieuczciwy. Przecież to, co mówił i jak mówił Jan Ciszewski, jest dla wszystkich zrozumiałe i jasne. Dla oglądającego transmisję komentarz słowny jest przecież dodatkiem do obrazu telewizyjnego oraz własnego napięcia i emocji. Przepisany i wydrukowany tekst komentarza staje się bełkotliwy i niezrozumiały dopiero sam, bo przecież nie powstał, jako informacja samoistna, lecz jako uzupełnienie obrazu.

To trochę tak jak tekst piosenki, który łatwo ośmieszyć, gdy się go potraktuje jak wiersz. A tekst piosenki wierszem przecież nie jest, lecz współgra razem z muzyką.

Jerzy Wittlin w swojej książce „Jest taki dowcip", pisze: **„Krytykującym bez umiaru sprawozdawców radiowo-telewizyjnych przeciwstawiamy się, opowiadając o meczu bokserskim, na którym dwóch mistrzów wagi półciężkiej w trakcie pasjonującego pojedynku, jeszcze przed gongiem, nagle wstrzymało się od wymiany ciosów. Zaskoczonej publiczności spiker zawodów wyjaśnił po chwili: „Proszę państwa, rzecz w tym, że sprawozdawcy radiowo-telewizyjni mówią tak szybko, iż bokserzy nie mogą za nimi nadążyć".**

Otóż właśnie. Rzecz w tym, że nikt nie przerwie akcji meczu, aby sprawozdawcy mogli swoje powiedzieć, pełnym zdaniem, elegancko, bez pomyłek i bez kiksów językowych. Mowa spontaniczna sprawozdawców determinowana jest spontanicznością akcji, którą komentują.

Nieco gorzej jest z „mową spontaniczną" z kartki, gdy akcja jest raczej niemarawa i można zadbać o poprawność. Na pewnym zebraniu Ligi Kobiet padło w referacie takie zdanie: „Aktyw robi co może, oddaje się na prawo i lewo, ale trzeba uaktywnić doły kobiece..."

Natomiast pewien młodzieżowiec (jest to klasyfikacja zawodowa a nie metrykalna) oświadczył w swoim wystąpieniu: „Przeoraliśmy oblicze Polski i zmieniliśmy zastaną rzeczywistość". Słowa oczywiście piękne i słuszne tylko rzecz całą dodatkowo — oprócz niezbyt fortunnej metafory — psuł fakt, że młodzieżowiec miał fatalną dykcję. Wyszło to więc nie najlepiej.

A jednak mowa spontaniczna ma swój urok! I to zarówno ta sportowa jak i ta zebraniowa. Nudna i uboga byłaby polszczyzna, gdybyśmy wszyscy mówili zawsze „całym zdaniem", wypranym z emocji, potknięć i zacukań. Mowa spontaniczna jest jak pieprz do mdłej potrawy. Proponuję więc, żeby zmodyfikować popularne powiedzonko i gdy ktoś truje nudno i beznamiętnie, zamiast „nie pieprz" — mówić: „pieprz, bracie, pieprz".

WIDOK

LEWYM OKIEM

Adrenalina i jaskółki

Pracownicy naukowi College of Pharmacy w Brooklynie postanowili zbadać, jaki wpływ na całość organizmu ludzkiego, a zwłaszcza w stosunku do osób cierpiących na nadciśnienie, mają przejazdy zatłoczonym metrem. Dwadzieścia pięć szczurów poddawano dwa razy dziennie wstrząsom, identycznym ze wstrząsami metra, przy jednoczesnym nadawaniu z taśmy autentycznych hałasów kolei podziemnej. Po szesnastu tygodniach cztery szczury zginęły. Badania wykazały, że nadnercze, wydzielające adrenalinę pod wpływem stressowych obciążeń organizmu, uległo znacznemu powiększeniu. Wniosek uczonych brzmiał: wprawdzie nie możemy bez zastrzeżeń przenieść naszych wyników na ludzi, ale pewne jest przecież, że i ludzki organizm nie został z natury stworzony do jazdy metrem.

Żadne stworzenie żywe — może za wyjątkiem niektórych wirusów, co do których nie ma całkowitej pewności, czy są stworzeniami żywymi — nie ma takiej wielkiej zdolności przystosowywania się do warunków, jak człowiek. Nasza wytrzymałość i odporność jest niesamowita, ale przecież nie nieograniczona. Szczury w laboratorium gnębiono tylko wstrząsami i hałasem, o ileż więcej negatywnych bodźców działa jednocześnie na nieszczęsnych ludzi w metro czy w tramwaju! Bo oto tęga jejmość wali się na nas całym swoim tonażem brutto, wbijając przy tym parasolkę pod żebra i miażdżąc odciski, sfatygowane i bez tego całodziennym daremnym bieganiem za jakąś głupią sprawą. Oto tuż obok wybucha kłótnia, a jedna ze stron biorących w niej udział tak ewidentnie nie ma racji a tak się przy tym buńczucznie pieniaczy, że nasze nadnercze od razu podwaja swą objętość. Oto wsiadł mimo ścisku popołudniowego kontroler, co się prawie nigdy w godzinach szczytu nie zdarza, i żąda wysokiej kary za to, że przyciskowy kasownik wcale biletu nie przebił; chociaż byliśmy pewni, że jesteśmy w porządku — znaku na bilecie nie ma, kontroler żąda żeby z nim wysiąść, poruta na cały tramwaj. Wydzielanie adrenaliny rośnie. Na przystanku motorniczy zahamował z takim fasonem, że w samochodzie opony by pięknie zapiszczały, a w tramwaju piszczą pasażerowie rzuceni na jeden wielki stos. Adrenaliny coraz więcej. Do tego dochodzi duchota i zapach niedomytych ciał, czego szczury w laboratorium nie miały, oraz fakt, że człowiek nie wsiada do tramwaju wypoczęty, wyspany i wypieszczony jak laboratoryjny szczur, że w przeciwieństwie do tamtego zawsze się spieszy, denerwuje, pędzi, goni i ucieka.

Aż dziw, że ludzie mimo to jeżdżą tramwajami dłużej niż 16 tygodni i czasami dożywają nawet emerytury. Ale i szczury wzięły się na sposób: nie jeżdżą tramwajami ani autobusami, nie spieszą się i z dużą wprawą potrafią wykorzystać fakt, że my — panowie stworzenia — coraz więcej naszych spraw, urządzeń, pomysłów, pomieszczeń przenosimy pod ziemię. Skutek jest taki, że wszystkie gatunki zoologiczne na świecie giną, a rośnie tylko liczba ludzi i szczurów. Co z tego wyniknie — nie wiadomo, może trzeba będzie wymylić jakąś koegzystencję, pójść na kompromisy, podzielić się sferami wpływów i bazą żywieniową.

A weźcie muchy. Z moich dziecięcych wakacyjnych wyjazdów przed laty zapamiętałem muchy wiejskie jako koszmarną plagę, kataklizm, żywioł nie do opanowania. Cóż tam pomagało wyganianie gęstych czarnych rojów z izby przy pomocy pęków komosy lub wikliny. Za godzinę czarno było i szumno z powrotem. To przecież z powodu much nie otwierano nigdy okien w chatach. No i patrzcie: znikнęły! Nic nie brzęczy oprócz telewizorów, nic nie wpada do mleka, lepy w ogóle przestano produkować. Ale że nic na świecie nie dzieje się bezkarnie, wraz z muchami pozbyliśmy się jaskółek. Już by jakaś nowa Konopnicka nie mogła pisać o gniazdach pod strzechami, o kwileniu i locie jaskółczym. Rodzieiwiczówna nie napisałaby już swojej powieści „Jaskółczym szlakiem". Nic nie zapowiada deszczu, odkąd nisko nie latają jaskółki. To były prześliczne momenty, te kręgi, zwroty, migoty — w jakim szalonym pędzie, z jakim wdziękiem, jaką precyzją — no, prześliczne! Gdzie jeszcze zobaczyć jaskółkę? W klatce nie wyżyje ani trzech dni. Wypchane w muzeum — to coś zupełnie innego. Wypchać szybkość, pęd, ruch? Wziąć się pod ochronę, dokarmiać się jak głupie sarny w lesie nie pozwoliły: jaskółka chwyta zdobycz w locie. Jakże ją dokarmiać? Hodować i puszczać w powietrze muchy?

Nie, nie, nie. Przyzwyczaimy się do pustego nieba nad nami. Przyzwyczaimy się do szczurów pod nami. Człowiek przyzwyczai się do wszystkiego. Nawet do jeżdżenia tramwajem.

ĆWIEK

PROPOZYCJE

RADIO Z LATEM

Wraz ze zbliżaniem się lata, mieszkańcy naszego kraju dzielą się na cztery grupy. Grupa pierwsza, to ci, którzy biorą urlopy w czerwcu. Druga — wyjeżdżająca na urlop w lipcu. Trzecia — urlopująca w sierpniu. Czwarta — oczekująca na urlop dopiero we wrześniu. Każda z tych grup wykazuje niebywałe zainteresowanie długoterminowymi prognozami pogody, bo każda chciałaby, aby dobra pogoda była tylko wtedy, kiedy oni będą wypoczywali. Słońce powinno świecić tylko dla tych, którzy są na urlopie.

Jest w tym może trochę i racji, bo upały wcale nie pomagają w pracy, ale też natura — choć, posługująca się wypróbowanymi metodami — nie jest jeszcze tak precyzyjna, aby mogła na miasta, fabryki, urzędy i instytucje zsyłać ożywczy chłód, a jednocześnie dopiekać tych, co w górach, nad morzem i jeziorami. A przy tym wszystkim nie powinnna zapominać jeszcze o rolnikach. Być może kiedyś ludzie dojdą do ładu z naturą i potrafią wymuszać na niej to, co będą chcieli, ale nie jestem zupełnie pewny, czy to będzie się podobało naturze i czy nie zemści się na ludziach, jak to już teraz często robi w odwecie za różne ingerencje w jej prawa.

W każdym razie czas planowania urlopu określa stosunek niektórych z nas do długoterminowej prognozy Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej. Oto za pośrednictwem PAP ukazała się w licznych gazetach prognoza pogody na lipiec. W 2 różnych łódzkich gazetach tego samego dnia, ten sam tekst komunikatu PAP otrzymał dwa różne tytuły. W jednej — dziennikarz udający się na urlop w lipcu — poinformował w tytule czytelników, że „UPAŁY RÓWNIEŻ W LIPCU". Inny — który widać uda się na urlop dopiero w sierpniu — temu samemu tekstowi dał dwa tytuły: „JAKA POGODA W LIPCU? JESZCZE KILKA DNI UPAŁÓW?". Obaj potwierdzili tylko starą prawdę, że na tę samą sprawę, można mieć różne poglądy, a wszystko zależy od punktu widzenia.

Można jednak w sprawach pogody dojść do porozumienia, a to wtedy, kiedy polubi się lato, niezależnie od tego, jakie ono będzie. Jak się polubi upały, to nie będą one przeszkadzały w pracy, a jak się polubi deszcz, to nie będzie on przeszkadzał w odpoczynku. Znam taką instytucję, która polubiła lato i zapewniło jej to pełny sukces. Tą instytucją jest Polskie Radio. Od kilku już lat Polskie Radio latem nadaje codziennie — z wyjątkiem niedziel — uroczą audycję „LATO Z RADIEM". Jest to audycja lubiana i powszechnie słuchana.

Ten swój sąd opieram nie tylko na listach, które przed mikrofonem czytają autorzy wspomnianej audycji. Są to listy od radiosłuchaczy, którzy piszą do „LATA Z RADIEM" nieustannie i o bardzo różnych sprawach. Ten sąd opieram na tym, że mnóstwo ludzi chodzi po mieście z tranzystorowymi odbiornikami. A udało mi się nawet być w fabryce, gdzie radiowęzeł transmitował tę popularną audycję i wcale to nie przeszkadzało ludziom w pracy. Przeciwnie. Tak, jak to twierdzi „Karuzela", że „Z uśmiechem pracuje się lepiej", tak można powiedzieć o „LECIE z RADIEM", że audycja ta pomaga ludziom w pracy, pomaga znosić im trudy pracy w upalne dni.

Od dawna zastanawiam się nad tym, co jest przyczyną sukcesu zespołu „LATA Z RADIEM"? Czy tylko to, że wpadli na dobry pomysł, aby ze starej, jak świat, pory roku, zrobić radiowy szlagier? Czy też może to, że audycja ta jest niezwykle autentyczna, robiona na żywo, jest właściwie tylko nieustanną rozmową dziennikarzy radiowych z ich radiosłuchaczami?

Osobiście skłaniałbym się ku temu drugiemu, a to dlatego, że codziennie — też z wyjątkiem niedziel — „SYGNAŁY DNIA", nadawane od godziny 6 do godziny 8 rano, zrodziły się z pomysłu, jaki legł u podstaw „LATA Z RADIEM". Zresztą jedną i drugą audycję robią ci sami ludzie i choć starają się być anonimowymi, to radiosłuchacze dobrze ich znają i bardzo często w listach zwracają się do nich per „Panie Tadeuszu" (do Tadeusza Sznuka), „Panie Andrzeju" (do Andrzeja Jaroszewskiego), „Panie Sławku" (do Sławomira Szofta).

Nawet popularne, ale bardziej dostojne — jak cała TVP zresztą — „STUDIO 2", zaczęło ostatnio współpracować z „LATEM Z RADIEM". I słusznie, bo „LATO Z RADIEM", jest audycją lekką, dowcipną, robioną z poczuciem humoru, ale i odpowiedzialności. „LATO Z RADIEM" — zabrzmi to może, jak banał — nie tylko bawi, ale i uczy. Ale banałem to nie jest. „LATO Z RADIEM" wpadło bowiem na pomysł uczenia ludzi pływania. Różnych rzeczy uczono już ludzi korespondencyjnie. Okazuje się, że można też i pływania. Kiedy posłyszałem niedawno, że można nauczyć się pływania, niezależnie od wieku, sam postanowiłem wziąć się do tego. Jeśli zacznę pływać, będzie to tylko i wyłącznie zasługa „LATA Z RADIEM".

Specjaliści stwierdzili to już dawno, że radia słucha się u nas na zasadzie szumu. Jest to niewątpliwie prawda, ale też wydaje mi się, że niesprawiedliwością jest, kiedy byle chała w TVP staje się przedmiotem ocen, sporów i analiz, a wiele dobrych audycji radiowych przemija bez większego prasowego echa. Ale nie bez zainteresowania. Dowodem na to, że ludzie reagują na radiowe audycje, są listy radiosłuchaczy. A to dla dziennikarzy, dla twórców radiowych, najwyższy wyraz uznania.

MARCIN RODAK

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

FESTIWAL BEZ PRZEBOJU

Krystyna Prońko

Każdy festiwal ma swoją historię i lansuje nowe przeboje. Tegoroczny festiwal opolski wprawdzie nie wzbogacił naszej muzyki rozrywkowej o żaden przebój, ale swoją historię zawartą w tych kilku słonecznych dniach i ciepłych nocach naturalnie posiada. Tyle tylko, że jest to historia wcale niewesoła.

„To powinien być dobry festiwal" — powiedzieli sobie organizatorzy i jak co roku bardzo solidnie przygotowali się do jego otwarcia (zainaugurowali nawet tuż przed połową czerwca działalność eleganckiego lokalu gastronomicznego przy Klubie Towarzystwa Przyjaciół Opola nazwanego „Musiołówką" — od nazwiska największego entuzjasty i współtwórcy festiwalu, prezesa TPO — Karola Musioła, by miała się gdzie odbyć konferencja prasowa). „To będzie dobry festiwal" — zapowiadali członkowie Komisji Artystycznej kwalifikując do wykonania coraz to nowe kicze, miast po prostu zamówić utwory u najlepszych autorów lub ogłosić konkurs na piosenkę i wybrać tylko najlepsze propozycje. „To musi być dobry festiwal" — mówili wykonawcy, a później śpiewali poniżej swoich realnych możliwości.

„To nie był dobry festiwal" — stwierdziło jury XIV Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu i po raz pierwszy, w blisko piętnastoletniej tradycji czerwcowych konfrontacji piosenkarskich w nadodrzańskim mieście, nie przyznało ani jednej z czterech (!) głównych nagród. W trosce o poziom artystyczny następnych festiwali opolskich. I słusznie.

Dlaczego było źle?

Z zestawu amfiteatralnych koncertów usunięto „Przeboje sezonu" i to tak skutecznie, że już później nie objawił się na estradzie żaden szlagier. Koncerty konkursowe były raptem dwa: „Po raz pierwszy w Opolu" i „Premiery — Opole 76". W miejsce dawnej prezentacji popularnych utworów znanych z anteny i płyt wprowadzono do programu imprezę pn. „Zamiast przebojów". Była ona turniejem kilku instytucji zawiadujących rozrywką. Każda z tych instytucji (w tym także wspólna reprezentacja Estrady Łódzkiej i Stowarzyszenia Muzyki Estradowej w Łodzi) prezentowała do oceny kilkadziesiąt minut trwający blok, w którym pokazywali to, co mają najlepszego. Mimo oczywistych walorów tego typu konfrontacji sam jej przebieg i sposób oceny wymaga w przyszłości zmodyfikowania. A z drugiej strony decyzją pozbawioną sensu było — moim prywatnym zdaniem — eksmitowanie przebojów sezonu podczas, kiedy to właśnie w Opolu istniała możliwość prześledzenia tego, co w ciągu ostatniego roku najbardziej podobało się publiczności. Masowy widz zatem — stracił a festiwal nie zyskał, bo stał się monotonny. Co bardziej renomowani wykonawcy występowali wprawdzie pod żółtą płachtą amfiteatru, ale tylko w imprezach towarzyszących, by przypadkiem nie poddać się ocenie jurorów, bo a nuż byłaby ona negatywna (ech, łza się w oku kręci, gdy się wspomni dawniejsze lata, kiedy to ramię w ramię walczyli w piosenkarskich bojach: Demarczyk i Santor, Niemen i Połomski...).

Wśród debiutantów poziom był raczej wyrównany, lecz nie zauważyłem żadnej nowej Krystyny Prońko. Chyba na zasadzie grepsu wystąpił w imprezie „Po raz pierwszy w Opolu" nasz niegdyś reprezentacyjny miotacz — Władysław Komar śpiewając piosenkę pt. „Graj mój akordeonie".

W tym miejscu po raz kolejny muszę się zgodzić z festiwalowym jury, które „z uznaniem powitało festiwalowy debiut big-bandu Katowickiej PWSM pod dyrekcją Andrzeja Zubka", który to big-band poczynał sobie całkiem nieźle, a mógłby i jeszcze lepiej, gdyby nie słabe aranżacje, poszczególnych utworów.

Osobną sprawą w kwestii brzmienia stanowiły specyficzne eksperymenty w zakresie nagłośnienia amfiteatru. Nagłośnienie widowni było fatalne, podsłuchu podobno wcale nie było, a od czasu do czasu zdarzały się poważniejsze wpadki, jak choćby ta, gdy w czasie koncertu „Alibabki" musiały przerwać swoją piosenkę, aby wreszcie panowie akustycy zauważyli te niuanse dźwiękowe, które od dawna słyszała publiczność i wykonawcy.

Brzmienie festiwalowych piosenek najlepiej oddane było... w transmisjach telewizyjnych. Jednak nasza kochana TV nadal lansuje słuszną ponoć tezę o wyższości jednodniowego „poślizgu" nad transmitowaniem „na żywo" imprez z amfiteatru. Stąd też z roku na rok telewidzowie z całego kraju mogą obserwować na srebrnym ekranie coraz to bardziej wysublimowane szczątki opolskiego „święta polskiej piosenki", coraz to bardziej — bez ładu i składu — okrojone fragmenty koncertów.

Jedyny moment w którym trudno odmówić racji selekcjonerom naszej TV — to usuwanie części konferansjerki, która na ostatnim „festiwalu opolskim była również zdecydowanie nieudana. Para ze „Spotkań z balladą": Sobczuk i Stuhr — całkowicie „wyprani" są z wszelkich ciekawych pomysłów, żałośnie wypadł też Andrzej Jaroszewski karcący publiczność za to, że denerwuje się ona blisko godzinnym oczekiwaniem na rozpoczęcie nocnej imprezy, puszczony na szerokie wody improwizacji — skądinąd świetny na wyuczonych tekstach aktor — Wiesław Gołas zupełnie się skompromitował, nawet Krzysio Materna nie czuł się na siłach, by rozbawić w czasie częstych wejść zgromadzoną pod gołym niebem publikę.

Zresztą publiczność także dostosowała się do ogólnego poziomu festiwalu. Jej ospałość i całkowita utrata energii (w czasie koncertu „Mikrofon i ekran" były praktycznie rzecz biorąc zaledwie dwa bisy i impreza, która zazwyczaj kończyła się o drugiej, trzeciej nad ranem, tym razem trwała zaledwie cztery godziny) była spowodowana całodziennymi upałami, ale także brakiem jakiejkolwiek wspólnej zabawy z artystami, czego nie zaplanowali występujący, ani też nie założono tego w konspekcie dramaturgicznym poszczególnych widowisk. Nie potrafiła tej złej passy na trasie artysta — słuchacz przełamać Olga Lipińska, główny reżyser festiwalu. Jedyną imprezą, w czasie której zapewniono publiczności prawo do rozrywki (to co, że w sposób komercyjny?), był koncert ZPR-ów „Tip-Top — zamiast dyskoteki", ale tam z kolei zawalili sprawę „prezenterzy" starając się pohamować z wolna rozbawiającą się widownię.

Poza amfiteatrem zorganizowano kilka imprez towarzyszących, a wzięli w nich udział m.in. Marek Grechuta, Jan Pietrzak i Wojciech Młynarski (ze swymi recitalami) oraz grupa „Dwa plus Jeden" ze suitą „Aktor" poświęconą pamięci Zbyszka Cybulskiego. Zauważyłem jednak, że atmosfera towarzysząca imprezom w amfiteatrze zaciążyła także nad pozostałymi estradami Opola.

W czasie XIV Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki „Polskie Nagrania" wydały płytę z utworami premierowymi z tego festiwalu, ale obawiam się, że nikt tego słuchać i tak nie będzie. Podobnie, jak niewielu chciało wysłuchać ciekawego, ambitnego wiersza Stanisława Grochowiaka (z muzyką Andrzeja Sobieskiego) w interpretacji Stefana Zacha. A był to jeden z jaśniejszych punktów festiwalowego repertuaru.

Bo na dobrą sprawę godziwie zaprezentował się tylko showman tegorocznego „Opola" — Andrzej Rosiewicz, a oprócz niego Maryla Rodowicz (ze znakomitymi piosenkami „Sing-Sing" i „Damą być"). Podobać się mogły „Alibabki", „Happy End", Grażyna Łobaszewska i jeszcze parę osób. I to już koniec.

Do zobaczenia za rok. Na jubileuszu.

Dwa plus jeden

Grupa wokalno - instrumentalna „Dwa plus Jeden" bardzo popularna nie tylko w Polsce, w przeciągu 5 lat swojego istnienia odwiedziła wielokrotnie takie kraje, jak: **ZSRR, USA, Kanadę, NRD, RFN, Berlin Zachodni, Bułgarię, Belgię, Francję, Włochy, Węgry, Wielką Brytanię, CSRS.** Laureat Festiwali w Opolu, Kołobrzegu i Sopocie, zdobywca nagrody Tygodnika „Music Weck" — gwiazda roku 1974, Złotej Płyty za LP „Nowy, wspaniały świat", uczestnik wielu międzynarodowych Festiwali Piosenki jako „guest star".

Posiada w dorobku około 100 piosenek nagranych w radio i wytwórniach płytowych Ostatnia płyta „Wyspa dzieci", cieszy się olbrzymim powodzeniem w Polsce, NRD i Włoszech. Grupa brała udział w kolorowych filmach TV „Wstawaj, szkoda dnia" i „Bal wszechczasów". Występowała wielokrotnie w programach telewizyjnych w Polsce, NRD, ZSRR, Włoszech, RFN, Berlinie Zachodnim.

Najbliższa przyszłość to koncerty w NRD oraz zaproszenie na koncerty i nagrania płytowe do Wielkiej Brytanii oraz RFN, nagrania nowego LP, na którym m. in. znajdzie się w całości suita „Aktor". Nowy program zostanie również zaprezentowany na tegorocznym Festiwalu w Sopocie. Od czasu nagrania LP „Wyspa dzieci" (współpraca z orkiestrą p/d Henryka Debicha) skład zespołu uległ powiększeniu.

I tak obok **Elżbiety Dmoch, Janusza Kruka** i **Andrzeja Krzysztofika** występują: **Adam Pilawa** — mellotron, skrzypce elektryczne, **Zygmunt Cezary Szlązak** — saksofon sopranowy, klarnet, fortepian, vocal, **Andrzej Wójcik** — perkusja.

Z zespołem, który na Festiwalu w Opolu obchodził pięciolecie działalności, nieprzerwanie pracuje jako kierownik organizacyjno-programowy **Jan Szewczyk,** długoletni działacz jazzowy, współtwórca sukcesów i osiągnięć grupy „Dwa plus Jeden".

BOGUMIŁ BEDNAREK

POWIĘKSZENIA

KONSEKWENCJA

„Express Ilustrowany" pisze w poniedziałek: **„1250 amerykańskich gazet publikuje co dzień horoskopy — Kilkaset tysięcy szarlatanów".**

Tak brzmi tytuł publikacji. W tekście natomiast czytamy: **„Jest to na tyle wymowne, że wszelkie komentarze wydają nam się zbędne".**

To w poniedziałek. W sobotę natomiast „Express Ilustrowany" drukuje — jak wiadomo — horoskopy.

„Jest to na tyle wymowne, że wszelkie komentarze wydają nam się zbędne" — że pozwolimy sobie zacytować łódzką popołudniówkę.

ADRESIK

„Express Ilustrowany" dba o wszechstronną informację. W numerze z dnia 28 czerwca br. dowiedzieliśmy się, że Stanisława J. (adres oczywiście podano dokładny) handluje wódką „stołową" i spirytusem. Żeby nie było wątpliwości, podano, że Stanisława J. otrzymała wyrok z zawieszeniem — więc adresik jest aktualny.

Z MODĄ I MUZYKĄ DO AZJI

Reprezentacyjna sala pokazów mody w Moskwie przy ul. Wawiłowa zajęta do ostatniego miejsca. Rozpoczyna się wieczór polskiej mody. Galowa premiera programu, który za kilka dni prezentowany będzie w azjatyckich republikach ZSRR. Wśród widzów przedstawiciele radzieckich kół gospodarczych z Ministrem Przemysłu Lekkiego ZSRR, tow. Tarasowem oraz przedstawiciele środków masowego przekazu. Organizatorzy to — CHZ „Textilimpex", Zjednoczenie Przemysłu Dziewiarskiego i Zjednoczenie Przemysłu Odzieżowego. Całość artystycznie opracowała Estrada Łódzka. Modelki i modele prezentują 250 propozycji polskiej odzieży i dziewiarstwa 18 bloków tematycznych opracowanych choreograficznie. Propozycje na każdą okazję, charakteryzuje modna linia, bogata kolorystyka, oryginalna faktura.

...Gromkimi brawami widownia nagradza modelki w bluzkach i spódnicach w charakterze marynarskim tańczące charlestona w towarzystwie Jacka Lecha, śpiewającego piosenkę „KOCHAJ MNIE DZIEWCZYNO", „PRZYSZŁAŚ DO MNIE Z JAŚMINAMI...". Na estradzie Zofia i Zbigniew Framerowie. Modelki i modele prezentują stroje balowe. Fantazyjne linie sukien, nastrojowe światła, szampan i toast. Za wiosnę, przyjaźń.

Moskwa żegna nas zimnem i deszczem. 4 godziny lotu samolotem i lądujemy w mieście kwiatów i ogrodów. To Taszkient, stolica Uzbekistanu. Czwarte co do wielkości miasto ZSRR. 2 mln mieszkańców. Miasto słońca, znakomitej kuchni i wielkiej gościnności, z którą spotykaliśmy się na każdym kroku. Taszkient imponuje rozmachem architektonicznym. Po trzęsieniu ziemi w 1966 r. nie zostało śladu. Największe wrażenie robią na mnie jednak olbrzymie fontanny. Są ich dziesiątki. Upiększają miasto i chłodzą jego mieszkańców, gdy w lipcu temperatura przekracza plus 40 st. C. Taszkient tonie w kwiatach. Chodząc ulicami, mam wrażenie, że jestem w wielkim baśniowym ogrodzie. Drugiego dnia pobytu I pokaz w Domu Modeli. Nasza kolekcja podbija publiczność. Miejscowa prasa i TV kilkakrotnie nadają relację z pokazów.

Zaproszeni wcześniej na nasze koncerty pracownicy miejscowego Aeroportu umożliwiają nam wycieczkę do Samarkandy 45 minut lotu i pod nami „Perła wschodu". Z wysokości 1000 m wygląda jak rysunek z baśni 1001 nocy. Lądujemy. Jest godz. 6.00 rano. Niedawno wzeszło słońce. Jest cicho, sennie. Ale Samarkanda budzi się. Gdy około 11 rano udajemy się na bazar, nic nie zostaje z tego porannego nastroju. Wrze jak w ulu. Wielka galeria typów. Stragany pełne owoców. Kupuję u starego, głośnego Uzbeka 3 soczyste granaty. Zwiedzamy centralny plac Registan i mauzoleum wielkiego wojownika Timura. Legenda o wielkiej miłości młodego architekta do żony, Tiumra, opowiedziana przez sympatycznego przewodnika Saszę przenosi nas w wyobraźni do okresu świetności miasta. Gorący pocałunek zakochanego w pięknej małżonce Timura architekta zostawia na jej twarzy ślad. Chcąc, aby wracający z wojny mąż nie ujrzał tego piętna, kobieta zasłania twarz. Od tamtej chwili wszystkie kobiety w Azji jeszcze do dziś ukrywają swoje twarze.

Tyle mówi legenda. Rzeczywistość Samarkandy to 300 tys. mieszkańców, to przemysł maszynowy, włókienniczy, chemiczny itp. O przeszłości przypomina barwna, niepowtarzalna mozaikowa architektura.

Niepostrzeżenie mija dzień. Trzeba wracać. Poczciwy AN-24 startuje. Patrzymy w dół. Wśród pustynnego krajobrazu ginie nam z oczu miasto z baśni.

Kolejny lot. Pod nami ośnieżone szczyty gór i wita nas Duszanbe, jedno z najmłodszych miast ZSRR. Liczy sobie 50 lat. W stolicy Tadżykistanu za dwa dni odbędzie się pierwszy w historii tego miasta pokaz mody. Będzie to pokaz polskiej mody. Bilety wyprzedano dużo wcześniej. Wieczór premierowy to długotrwałe owacje dla wykonawców, dla modeli i kolekcji. Towarzyszy nam niemożliwy upał plus 30 st. w cieniu. W oddali ośnieżone szczyty gór Pamiru. Czwartego dnia pobytu jedziemy w góry. Niezapomniane widoki, skaliste przełęcze, przepaście, egzotyczni ludzie. 94 proc. powierzchni Tadżykistanu to góry. Jedziemy drogą, na której 20 lat temu kręcono film „Strażnica w górach". Wieczorem w TV oglądamy reportaż z naszego programu premierowego.

Ostatni wieczór w Duszanbe „Zielone przedstawienie". Krystyna Jędrzejecka, prezenterka programu, mówi o naszej polskiej tradycji tych przedstawień. Mamy obawy czy widownia odbierze właściwie nasze żarty. Obawy mijają szybko. Program jest znakomitą wspólną zabawą wykonawców i widowni. Jacek Lech jako model. Śpiewająca żeńska grupa wokalna modelek, to dodatkowe atuty tego wesołego „Zielonego przedstawienia". Duszanbe żegna nas deszczem.

Przewidywany sześciogodzinny lot do Moskwy trwa 10 godzin. Zbaczamy z drogi i lądujemy w Kujbyszewie, gdzie zostawiamy jednego z pasażerów, który zasłabł w samolocie. W Moskwie zimno i deszcz. Żal nam słonecznego, pełnego kwiatów, Duszanbe.

SŁAWOMIR ROSIAK

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt 90-950 i 90 102 Telefony 652 44 217-98 oraz 293 00, wew. 29, 39, 40 i 41 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Zam. 1397, R-15. Nr indeksu 26762.